

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 6 (1742) 9–15 lutego 2024

**DZIENNIK
COTYGODNIOWY**



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Bal maskowy



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

♦ Tydzień sejmowy zaczął się od próby zdobycia sejmu przez Kamińskiego z Wąsikiem. Próba się nie powiodła – sejm został obroniony przez bohaterską straż marszałkowską, wobec czego Jarosław Kaczyński orzekł, że tak naprawdę wcale nie chodziło o zdobycie sejmu, tylko wręcz przeciwnie, o bycie odpartym. PiS uzyskał w ten sposób dokument, który „był nam potrzebny ze względów procesowych, bo rząd 13 grudnia nie będzie trwał wiecznie”. A jak już przestanie, to papier od straży nada się do „rozliczenia odpowiedzialności, i to takiej, która już byłaby dla kolejnych pokoleń całych ostrzeżenia, że tego rodzaju zbrodnia to jest coś, za co się bardzo drogo płaci”. Chodzi o art. 127 kk: „Kto, mając na celu pozbawienie niepodległości, oderwanie części obszaru lub zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej”... Od 10 lat do dożywocia. Prezes miał wyraźnie jeden z lepszych dni.

♦ Zabłysnął także jak zwykle marszałek Hołownia, z właściwym sobie wdziękiem streszczając plan pracy sejmu na najbliższe dni: „PiS przesłał do mnie trzy projekty uchwał. W wielkim skrócie: jedna z nich stwierdza, że w Polsce trwa właśnie zamach stanu, druga oczekuje, że sejm wyrazi swój stanowczy sprzeciw wobec bestialskich tortur, jakim miał być poddany w zakładzie karnym w Radomiu pan Mariusz Kamiński, i trzecia wreszcie oczekuje od sejmu stanowczej i radykalnej obrony zdaniem uchwalodawców poniżanego albo w inny sposób jeszcze źle traktowanego Trybunału Konstytucyjnego. Poważnie traktuję wszelkie poselskie inicjatywy”.

♦ I jeszcze o Hołowni: Maria Thun, córka europosłanki, która przeszła z PO do Polski 2050, została zatrudniona w Ministerstwie Cyfryzacji na stanowisku wicedyrektorki w Centralnym Ośrodku Informatyki, ale długo nie pracowała. Albowiem – jak donosi „Gazeta Wyborcza” – „gdy Tusk się o tym dowiedział, kazał Gawkowskiemu wyrzucić ją tego samego dnia, i to do południa”. Zapytany, czy zwolnienie Thun nie jest zemstą Donalda Tuska za to, że jej matka odeszła z Platformy Obywatelskiej, marszałek Hołownia odpowiedział: „Znam pana Donalda Tuska, nie podejrzewam go o taką małostkowość”. Może za dużo tej ironii, Panie Marszałku.

♦ Wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz straszy wojną: musimy być gotowi na „najgorszy scenariusz”, bo „jesteśmy państwem, które graniczy z krajem, na terytorium którego trwa pełnoskalowa wojna od dwóch lat” i „nie można o tym zapomnieć”. Polacy reagują na przestrogi wicepremiera: według Michała Fedorowicza, prezesa Instytutu Badań Internetu i Mediów Społecznościowych, najpopularniejsze wyszukiwanie w necie dotyczy tego, gdzie jest najbliższy schron w okolicy, jak uciec za granicę i kto pójdzie do wojska.

♦ Drugi wicepremier Krzysztof Gawkowski tłumaczy się ze składu rady do spraw sztucznej inteligencji, w której znaleźli się wyłącznie przedstawiciele biznesu zarabiającego na sztucznej inteligencji, a nie ma uczonych, etyków i prawników ani tzw. strony społecznej, czyli NGO-sów. Dodatkowo część z wybranych do rady ma jakieś powiązania z Chinami, co w Polsce budzi dziś panikę nieco tylko mniejszą niż relacje z Rosją. Odpowiedź wicepremiera: „Nie można tak patrzeć na ludzi i powiedzieć, że ktoś gdzieś kiedyś z Chińczykami współpracował. To, że są różne osoby, które gdzieś kiedyś pracowały, no to oczywiście, że są jakieś osoby gdzieś pracujące. Nie mam żadnych wątpliwości, że w Polsce dużo osób pracowało w przeszłości w różnych miejscach”. A, to luz.

♦ Na prezydenta Warszawy PiS wystawi Tobiasza Bocheńskiego. To 36-letni prawnik z Łodzi, którego związki z Warszawą polegają na tym, że weszłym roku przez osiem miesięcy był wojewodą mazowieckim i od tego czasu „tu mieszka i płaci podatki”. Tobiasz „jest przedstawicielem wielkomięskiej prawicy”, albowiem wbrew temu, co „sobie niektórzy wyobrażają”, konserwatyści występują nie tylko „w chatkach krytych słomą i strojach folklorystycznych”. Czy też macie wrażenie, że nowy delfin PiS odnosi się do tradycyjnego elektoratu swojej partii cokolwiek protekcyjnie? Bocheński ma też plan na kampanię: „Kiedy rodzina warszawska siada przy stole i zaczyna rozmawiać o Warszawie, to nie jest to temat aborcji, nie jest to temat parady równości, nie jest to temat kary śmierci, tylko są to korki i dostępność mieszkań”. Gdyby p. Bocheński miał rodzinę w Warszawie, pewnie orientowałby się lepiej. Uderzyło nas jednak co innego: kara śmierci. Serio?! W XXI w. w Unii Europejskiej ktoś uważa karę śmierci za temat do rozmów? Niepokojące.

♦ Borys Budka odwołał pisowską radę nadzorczą Orlenu, ale wcześniej zdążyła ona odwołać Daniela Obajtka. Co – zdaniem antypisowskiego komentariatu – miało zapewnić mu szybką wypłatę odprawy i odszkodowania w wysokości prawie miliona złotych. Wojciech Jasiński, prezes ustępującej rady i były minister w rządzie Kaczyńskiego, zapytany, czemu ciało, którym kierował, zdecydowało się wyrzucić tak doskonałego prezesa, odrzekł: „Tam były pewne wyższe uzasadnione racje”.

♦ Prezydent Duda udzielił długiego wywiadu kanałowi youtube'owemu o niezbyt optymistycznej nazwie Zero. Powiedział w nim, że nie jest pewien, czy Ukraina odzyska Krym, co wzbudziło powszechne oburzenie. Duda szybko wycofał się ze swojej niepewności, a minister spraw zagranicznych Radek Sikorski wielkodusznie uznał, że to „zamyka sprawę”, bo „każdemu zdarza się przejęzyczenie”. Wielkoduszność ministra Sikorskiego nie wytrzymała próby konfrontacji z Telewizją Republika, która zapytała go o pamiętny wpis na platformie X: ten, na którym były zdjęcie wycieku gazu z uszkodzonego przez nieznaną sprawców Nord Stream 2 i podpis: „Thank you, USA”. „Dziwię się pańskiemu pytaniu” – odparował mistrz ciętej dyplomatycznej riposty – „bo w ostatnich dniach propaganda rosyjska cieszyła się z wypowiedzi zupełnie innego polskiego polityka. Chce pan, żebyśmy o tym porozmawiali?”

Z URNY URBANA

Obecnie co chwilę słyszy się o najprzeróżniejszych niegodziwościach i machlojach, które nawywijali PiS i jego koledzy przez ostatnie osiem lat. A przecież wcale tak nie było. PiS nie był taki straszny, jak go dziś malują. I Urban pisał o tym – felieton ze stycznia 2019 r.



Partia i rząd mieczaków

Totalna opozycja trafnie krytykuje PiS. Wady tych rządów są niepoliczalne. Wrogowie Kaczyńskiego i jego drużyny nie biorą jednak pod uwagę świństw, podłości i nonsensów, jakie banda rządząca mogłaby czynić, ale się do nich nie ucieka. Oj, beknie Schetyna przed narodem za to, że nie docenia umiaru, łagodności, dobroci i wstrzemięźliwości teraźniejszej władzy. PiS cieszy się przecież społecznym poparciem z powodu swej dobrociowości właśnie.

Polaków jest około 38 milionów minus emigranci z rodzinami, którzy umknęli spod dobrej zmiany. Więźniów wyraźnie politycznych mamy zaś tylko kilkunastu. Pół posadzonego na milion obywateli. Liczba ta zaświadcza o niezwyklej łagodności władzy. Umyslnych zabójstw swych wrogów rząd w ogóle nie stosuje, chociaż ma niezbędne do tego siły, środki, powody i emocje.

Na przykład żaden dziennikarz, który odwiedził polski konsulat, nie został zamordowany, pokrojony i rozpuszczony w kwasie. A przecież liczni redaktorzy swoją pisaniną proszą się o anihilację. Polski wywiad nie psika też zdrajcom w nos trującym gazem, chociaż żywiłoby to przecież powszechny patriotyzm. Nie wszystkie szpiegownie świata są aż tak dobrośliwe jak polska. Błaszczak ma bomby, którym mija termin ważności, a jednak pozwala im rdzewieć, zamiast na kogoś zrzucić.

Mamy też w Polsce cudzoziemców, w tym ciapatych niekatolików. Wielu ochotników ma smak na zrobienie im „nocy długich noży”, jednak władza nie chce dopuścić nawet do tak pożytecznej swawoli. Paraliżują ją polityczna wstrzemięźliwość i zalecanie przez biskupów pogląd o świętości życia, chociaż ona przecież umiera po porodzie.

To nie minister Zalewska obdarzyła dzieci opresyjnym obowiązkiem szkolnym. Co prawda pod jej władzą dziatwa obowiązana jest do stania, adorowania biało-czerwonej i śpiewania hymnu, ale wyjąwszy narodowe rocznice, męka ta trwa niezbyt długo. Łagodność MEN

sprawia, że podopieczni resortu nie muszą po hymnie śpiewać innych pieśni krzepiących patriotyzm: „Kiedy ranne”, „Bolszewika goń, goń, goń”, „Boże, coś Polskę”, „Jak to na wojenne ładnie”, a też hymnów o traktowaniu kolegów końmi i rozkoszy leżenia na dnie morza po utopieniu się za ojczyznę. A przecież także dziewczynkę idącą do laseczka można by gówniarzom dorzucić wraz z wiankami do falującej wody oraz pobożną kolędę.

Aroganka kasta złodziei nadal nosi togi oraz orły łańcuchowe i sądzi Polaków. Ziobro mógłby zaś przecież zastąpić ich trybunałami ludowymi, pogonić Żurka i Tuleję, rozgonić adwokatów, tych popleczników morderców i bandytów. Sprawiedliwość społeczną może bezpośrednio czynić naród, rezygnując z pośredników. Każdy podsądny przyzna się wówczas do wszystkiego, czego oczekuje od niego ludność. Należy w Ziobrze docenić to, że wstrzemięźliwie reformuje wymiar sprawiedliwości i nawet gorący miłośnik ojczyzny idzie siedzieć za kradzież byle auta i dzieli celę ze zwyrodniałymi eurobestiami.

Znana i praktykowana katolicka miłość bliźniego sprawi, że gdy posłanka Krystyna Pawłowicz awansuje do europarlamentu, wyjedzie do niego w kagańcu egzekwującym wydany jej przez prezesa zakaz plucia śliną w mordy Tuska, Timmermansa, Junckera i całej tej eurobandy. Opozycja nie dostrzeże zaś i nie docenia tego, że PiS jedzie na hamulcach i przed wyborami nie naciśnie ożywczego gazu.

Dotyczy to także polityki historycznej. Z okazji trzydziestolecia rozpoczęcia obrad Okragłego Stołu reżimowe media sugerowały co prawda, że siedzący za tym meblem bracia Kaczyńscy układali się tam z „Bolkim”, który reprezentował Jaruzelskiego, ale cofają się przed twierdzeniem, iż to Związek Radziecki sterował Wałęsą. Nawet policja historyczna, czyli Instytut Pamięci Narodowej, nie dowodzi, że we wrześniu 1939 r. zwycięska polska armia zajęła Berlin i przyłączyła do Rzeczypos-

politej Gdańsk, Olsztyn, Wrocław i Szczecin. A przecież ten właśnie układ zdarzeń logicznie wynika z opisów dzielności Wojska Polskiego i wspaniałości dowódczej marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. PiS, manipulując minionymi armiami, nie idzie za daleko i nie posuwa tam także sił zbrojnych Polski.

W gdańskim muzeum zwycięstw Polaków w II wojnie światowej nie wywieszono więc fotografii, na której 10 września 1939 r. gen. Kasprzyski pchałby przed Bramą Brandenburską klatkę wypełnioną Adolfem Hitlerem. Reżimowi wystarcza zwycięstwo powstania warszawskiego i kapitulacja Niemców przed Borem.

Przyczyny powściągliwości kaczyistów godne są zastanowienia. Czy stanowią efekt wyrachowania? Mogłoby ono wynikać z analizy wad elektoratu PiS, który jest nie dość pisowski, gdyż 76 procent wyborców tej partii pragnie, aby kraj szmacił się w Unii Europejskiej. Albo przeciwnie – łagodność bierze się z moralności chrześcijańskiej, zalecającej umiarkowanie w kłamstwach. Sądzę, że przyczyny są mieszane, ale góruje w nich moralna, praktyczna i tymczasowa niedojrzałość partii Kaczyńskiego do fałszowania głosowań narodu wybranego.

Gdy Prawo i Sprawiedliwość przestanie uzależniać ogłaszany wynik wyborów od tego, na kogo głosowała ludność, wówczas partia nabierze śmiałości. Potrzebnej zresztą także po to, żeby rację bytu stracili jej konkurenci na prawicy – szowiniści i bojówkarze o faszystowskich upodobaniach.

Schetyna, Lubnauer, Czarzasty, Biedroń i Kosiniak-Kamysz, nie doceniając i nie chwając teraźniejszej łagodności PiS, pchają tę partię ku radykalizmowi, a przez to siebie samych do przyszłego koncentracyjnego obozu pracy dla bylejakiej opozycji. Ta praca lekka nie będzie.

Mam nadzieję, że chwalcąc obecną linię partii, czyli dyktaturę *soft*, zasłużę sobie na zajęcie lekkie, bo w obozowej kuchni, mimo że o naszej umiłowanej ojczyźnie mam stosunek płciowy.

URBAN



Budować ten CPK czy nie?

Facebook

Andrzej Żmuda: Lepiej zbudować CPK. Centralny Punkt Odsiadkowy. Przyda się na najbliższe czasy.

Mateusz Wojciech Osiecki: W sensie, czy mamy budować Celę Pana Kaczyńskiego? Oczywiście, że tak!

Michał Kwiatkowski: W każdej gminie.

Łukasz Jakóbek: Ja bym zbudował na Żoliborzu.

Radosław Piłarski: Centralny Punkt Kopulacyjny? Jak najbardziej, jeszcze jak!

Maciej Dadej: Nowy sejm budować dla PiS-u, gdyż w starym miejsc dla nich brakuje.

Marcin Bielias: Czy CPK to centralny port katolicki?

Piotr Dobosz: Zależy, co rozumiemy przez CPK. Jeśli Centralny Pierdel Kaczyistów, to tak, bo się nie zmniejszą w obecnym systemie penitencjarnym.

Jurek Nosal: Najpierw trzeba wydać 1 000 000 wóz, żeby miał kto latać z Baranowia!

Krzysztof Rychcik: Zbudować, nadać imię Tuska i czekać, aż pisiory przyjdą na odprawę.

Andrzej Nowiński: A ja wierzę, że Maciej Lasek zweryfikuje sytuację i określi właściwy sposób postępowania. I to jest odpowiedź bez żartów.

Barbara Zet: Budować – na wypadek, gdybyśmy wszyscy naraz chcieli stąd spierdalać.

Forum

BOG: Walić to.

Co zrobili PiS?

Zawszą słysząc narzekania funkcjonariuszy poprzedniej władzy, że bezprawnie odsuwa ich się od koryta. Wszystko jest dla nich bezprawne, a obecna władza koalicyjna łamie na każdym kroku każdą ustawę, z konstytucją łącznie. (...) A czego PiS się spodziewa? Po pierwsze, chyba sami zapomnieli, co wyprawiali osiem lat temu i przez ostatnie osiem lat – jak bardzo sami łamali prawo. A po drugie, chyba nikt nie zdaje sobie dziś sprawy, co by się mogło wydarzyć, gdyby ci ludzie, którzy w latach 2015/2016 oddawali władzę PiS, zachowywali się tak, jak pisiory teraz... To co prawda tylko gdybanie, ale chyba każdy z nas potrafił to sobie wyobrazić: byłoby aresztowania, interwencje policji z palowaniem, obezwładnianiem paralizatorami i gazem łącznie itp. Może nawet Ziobro wymyśliłby jakieś doraźne trybunały dla opierających się oddaniu władzy.

Sylvia R., Warszawa

LISTONOSZ DONIOŚ

Zresztą jak świat światem zawsze każda nowa władza zastępowała ludzi poprzedniej swoimi. Co w tym dziwnego? Robili tak wszyscy u nas, choć nikt na taką skalę jak PiS. To czemu teraz się dziwią? Czego się spodziewali? Mam wrażenie, że albo ci ludzie z prawicowej części naszej sceny politycznej nie tylko są zwyczajnie głupi, ale także nie umieją przegrywać. Albo cały ten szum o łamanie prawa przez nową władzę robią tylko po to, by budować sobie pozycję męczenników za demokrację na przyszłe wybory.



PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Sędziowie lepszey zmiany

Praworządność stała się nic nieznaczącym wytrychem publicystycznym.

Obywatel ma gdzieś, czy wydumane przez profesorów prawa definicje praworządności popiera minister Bodnar, sędzia Markiewicz z Iustitii czy sędzia Manowska z Sądu Najwyższego. Obywatela trafia szlag, gdy po raz milionowy słyszy o wolnych sądach. Obywatel chciałby sądów szybkich.

Już taki jestem...

Tymczasem dziś frankowicze procesujący się z bankami przez ponad pół roku czekają, by sąd łaskawie i zgodnie z orzeczeniem TSUE pozwolił im nie nadpłacać spłaconych zobowiązań. Na kilka zdań uzasadnienia wyroku sędzia potrzebuje więcej niż cztery miesiące. Na pierwsze rozprawy czeka się ponad rok. Tak wynika z krótkiego przepytania zaprzyjaźnionych prawników.

Ministerialna statystyka pokazuje, że jest nieco lepiej. Między rokiem 2015 a 2022 średni czas trwania postępowań w sądach rejonowych wydłużył się o 1,7 miesiąca – z 4 do 5,7 miesiąca. W sądach okręgowych wydłużył się o 1,1 miesiąca – z 8,4 do 9,5 miesiąca. A co najciekawsze, liczba spraw zmniejszyła się w tym czasie o 1,7 mln – z 6,5 mln do 4,8 mln. Dla większości Polaków niemających błędnego pojęcia, czym różni się sędzia od neosędziego, to jest klucz do postrzegania praworządności. To dzięki temu, a nie przepychankom z neo-KRS, każdy widzi, że osiem lat Ziobry w sądownictwie było porażką.

Izba Cywilna Sądu Najwyższego w Warszawie podjęła decyzję w sprawie nieważności rozwodów w Polsce. Według uchwały rozwody, w których skład orzekający stanowili jeden sędzia i dwóch ławników, zostały uznane za nieważne. Decyzja dotyczy zarówno spraw niezakończonych do 3 lipca 2021 r., jak i tych wszczętych między 3 lipca 2021 a 14 kwietnia 2023 r. Stropy postępowań zakończonych w tych widelkach czasowych muszą teraz rozważyć wniesienie o ich wznowienie. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy zdążyli już sobie poukładać życie po rozwodzie, nagle dowiaduje się, że wciąż mają niegdysiejszych mężów czy żony.

Na sądownictwo w Polsce idzie ponad 0,5 proc. PKB. To dwuipółkrotnie więcej niż w większej części cywilizowanej Europie. Sędziowskie zarobki zaczynają się od 15 tys. zł miesięcznie. Dzięki COVID-owi runęła największa bariera ograniczająca przepustowość sądów, czyli kwestia dostępności sal rozpraw, na które czekali się miesiącami. Teraz mnóstwo posiedzeń odbywa się dzięki łączom internetowym i transmisjom wprost z gabinetu sędziego, a nie sali rozpraw. Wszystko zatem powinno śmigać. Ale nie śmiga. Ile razy zdarza mi się rozmawiać z jakimś sędzią telefonicznie, to z reguły siedzi przy biurku i wypisuje zawiadomienia o rozprawach, wezwania do stawienia się lub cokolwiek innego, co mogłaby robić jego asystentka. Tyle że takiej asystentki nie ma. Z reguły bowiem jedna przypada na pięciu, sześciu sędziów. Wobec tego robotę, którą mogłaby wykonywać osoba po maturze za 4–5 tys. zł miesięcznie, musi robić ktoś, na kogo podatnik wydaje cztery razy więcej. Sędzia, zamiast siedzieć w aktach i dumać nad sprawą, zajmuje się – przez dwie trzecie swojego czasu pracy – wypisywaniem kwitków.

Artykuł 176 konstytucji powoduje, że większość sędziów nie musi znać akt sprawy. W trakcie rozpraw może spać albo myśleć o zbliżającym się weekendzie. Pozwala na to zapis stanowiący, że „postępowanie sądowe jest co najmniej dwuinstancyjne”. Dlatego sędziowie z sądów pierwszej instancji, zamiast główkować nad werdyktem, mogą sobie rzucić monetą. Czy postanowią tak, czy inaczej, sprawa i tak trafi szczebel wyżej, gdzie znów będzie rozpoznawana. Sędziowie drugiej instancji też nie muszą się wysilać i czytać wszystkich akt. Na chybił trafił otwierają pierwsze z brzegu i zawsze znajdują coś, co skutkuje wyrokiem mówiącym, że sprawa na nowo

ma trafić do pierwszej instancji. Spychotechnika sędziowska może trwać i trwać. Głównie dlatego, że sędziom – w przeciwieństwie do saperów – błędy nie szkodzą.

O tych wszystkich faktach i zasadach działania sądów i sędziów wiedzą wszyscy związani z wymiarem sprawiedliwości. Wiedzą też ministrowie, Sąd Najwyższy i oczywiście sędziowie ze stowarzyszeń sędziowskich. I – bez dwóch zdań – dobrze im z tym.

Rzeczy sedno

PiS, wygrywając w 2015 r., stawiał dobrą diagnozę sądownictwa. Ziobro wykrzykiwał, że „nie można dłużej tolerować ciągnących się latami postępowań sądowych. Nie wolno już przymykać oczu na kolejne ujawniane afery świadczące o niskim poziomie etycznym i braku niezależności sędziów. Dość ich arogancji, z którą na salach rozpraw spotyka się zbyt wielu Polaków. Przewlekłość procesów to przyczyna dramatów Polaków, którzy nie mogą się doczekać sprawiedliwości przed sądem, a także wydatków państwa, które musi wypłacać z tego powodu coraz wyższe odszkodowania”. Politycy PiS zadbałi, by gazety pełne były zdjęć ponętnej blondyny z rozpuszczonym włosiem pod tytułem „Sędzia zatrudniała swojego kochanka!” albo „Prezes sądu do celu za machloje?!”. Ziobro wyczuł, że tzw. kontrydaktoryjność w postępowaniach karnych pograża Platformę, która ją wprowadziła. Chodziło o to, że sędzia miał w trakcie procesu tylko słuchać adwokata, prokuratora, świadków, ofiar i oskarżonych. Nie mógł zadawać pytań, tylko słuchał. Ponieważ prokurator w sądzie rzadko kiedy miał pojęcie o sprawie, bo jej po prostu nie znał, to taki tryb postępowania faworyzował bogatych gangsterów, których było stać na najlepszych obrońców. Ci zaś na sali sądowej robili z prokuratora wiatrak. Dlatego jedną z pierwszych decyzji PiS po objęciu władzy było odrzucenie kontrydaktoryjnej sprawiedliwości tylko dla bogatych.

To chyba jedyna reforma Ziobry, co do której nikt rozsądny nie miał zastrzeżeń. Do tego stopnia, że dziś żadna ze stron sporu o kontrydaktoryjność w procesie karnym nie wspomina. Wszystkie pozostałe reformy Ziobry były złe i bardzo złe. Nawet pomysł kontrolowania i dyscyplinowania sędziów skończył się tym, że swoi mogli robić, co im się chciało, a na tych z drugiej strony, nawet jak nic złego nie zrobili, zawsze znalazł się jakiś paragraf. O przewlekłości postępowań po 2017 r. Ziobro jakoś już nie wspominał.

I dobrze mi z tym

Jak wiadomo Iustitia walczyła o sędziów i praworządność przez wszystkie lata władzy PiS. Gdy sondaże jąły wskazywać klęskę PiS, towarzystwo zaczęło przebiegać nogami. No bo któż mógłby być bardziej godzien ministerialnych stołków niż nieulekli bojownicy walk o wolne sądy? Jakież musiało być wśród nich rozczarowanie, gdy okazało się, że nie dość, że ministrem został Adam Bodnar, to nie wziął z Iustitii nikogo.

To stąd biorą się wyciągane teraz na siłę przez media tarcia między stowarzyszeniami sędziowskimi a Bodnarem. PiS nie do końca nie miał w kwestii upolitycznionych sędziów racji. Towa-

rzystwo to z racji fachu pieniądze już miało. Jedyną ambicją było więc dla części z nich wzięcie władzy. Po co ją mieli brać?

Na tak postawione pytanie odpowiadają projekty reform wymiaru sądownictwa. Iustitia proponowała, że KRS ma być tak samo wybierana jak przed laty. Ale

oprócz nominowania sędziów KRS miałyby się zająć nadzorem nad pracą sądów, który powinna prowadzić wraz z prezesami sądów. Oznaczałoby to wyłączenie tego nadzoru z kompetencji ministra sprawiedliwości. Sędziowie nie mieliby zatem nad sobą choćby symbolicznego bata. Sądziłiby się i oceniali wzajemnie.

A ponieważ projekt Iustitii przewidywał weryfikację sędziów powołanych przez obecną KRS, to tylko idiota nie dostrzegłby paraleli z tym, co zrobił Ziobro. Znów byłiby swoi i tamci. Oczywiście projekt kasowałby izbę Sądu Najwyższego powołanych przez PiS, a służących karaniu i dyscyplinowaniu sędziów.

Szef Iustitii Wojciech Markiewicz, dopytywany przez media, co zamiast nich, odparł: „W ich miejsce nic nie powstanie. Sąd Najwyższy przez długie lata radził sobie bez nich, także w sprawach dyscyplinarnych, dlatego poradzi sobie i teraz”. Czy w ten sposób środowisko sędziowskie dba, żeby programowi „Kasta” w TV Republika rosła oglądalność?

Bez dwóch zdań

Nie ma się więc co dziwić Tuskowi i Bodnarowi, że panom i paniom z Iustitii podziękowali. Minister woli sam walczyć o praworządność. Stąd jego projekt ustawy o KRS i ostry atak na tę propozycję ze strony odzianych w togi bojowników wolnych sądów. Oczywiście nie budzi sprzeciwu proponowany przez Bodnara zapis, że sędziowie będą wybierani do rady przez sędziów w wyborach bezpośrednich i w głosowaniu tajnym. Do obsadzenia byłoby – jak teraz – 15 miejsc dla sędziów z czteroletnią kadencją. Iustitia zgłosiła szereg innych uwag do projektu, twierdząc, że w obecnej postaci nie zapewnia on sądom wystarczającej niezależności, a konieczne są znacznie szersze zmiany. Nie podoba się stowarzyszeniu, że KRS ktoś spoza grona sędziów będzie patrzył na ręce. Bodnar bowiem planuje, że po skompletowaniu apolitycznej Krajowej Rady Sądownic-

stwa ryzyko ewentualnych nacisków politycznych ma zostać zredukowane poprzez utworzenie obok niej Rady Społecznej, odpowiedzialnej za ocenę kandydatów uczestniczących w konkursach na stanowiska sędziowskie. W skład tej rady mieliby wchodzić przedstawiciele samorządów prawnych, prokuratorzy, rzecznik praw obywatelskich oraz trzy osoby rekomendowane przez prezydenta, pochodzące spośród przedstawicieli organizacji pozarządowych.

Ponieważ KRS trzeba zmienić ustawą, to przez półtora roku z powodu weta Dudy i tak nie ma na to szans. Przez ten czas, zamiast rozstrzygać prawniczy bełkot o odzyskanej praworządności i wolnych sądach, ministerstwo i sędziowie mogliby więc chociaż zrobić coś, co sądzenie przyspieszy.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓZDZEK TYGODNIA

Gdyby prezydentem Polski był prawdziwy osioł, nikt by od niego nie wymagał niczego poza strzyżeniem uszami. Gdyby prezydentem był prawdziwy baran, niechby całymi dniami beczał i przeżuwał trawę. Albo prawdziwy szympan – nikt by się nie zdziwił, gdyby iskał Wąsika lub Kamińskiego. Prezydentem jednak jest prawdziwy Duda, dlatego więc wciąż zdumiewa nas, obywateli, że potrafi on posługiwać się długopisem oraz mówić do mikrofonu? A jeśli umie mówić, to ma prawo gadać głupstwa, pleść androny, pierdolić nonsensy jak potłuczony. Prezydent Polski nie musi być Einsteinem! Jeśli chcemy mieć mądrego prezydenta, wyemigrujmy na Słowację, gdzie funkcję tę pełni pani Zuzana Čaputová.

Jeżeli tylko przyjmiemy takie założenie, to przestaniemy się dziwić i oburzać. Duda ma język, to nim miele, np. ostatnio w rozmowie na Kanale Zero: „Krym jest miejscem szczególnym, również z względów historycznych. Ponieważ w istocie, jeśli popatrzymy historycznie, to przez więcej czasu był w gestii Rosji”. Dlatego prezydent Polski nie wie, czy Ukraina odzyska półwysep.

Jeśli na Dudę popatrzymy historycznie, ahistorycznie czy w jakikolwiek inny sposób, to przez więcej czasu prezydent Polski przebywał w oparach absurdu, a nie w atmosferze rozsądku. Czasem tylko robi sobie przerwę na iskanie Kamińskiego i Wąsika.



KRYMOWKI PROSZĘ...



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Ekstremalne pojednanie

W obronie prezydenta.

Jako etatowa ruska onuca tygodnika „NIE” czuję się w obowiązku bronić prezydenta Dudy w kontekście jego wypowiedzi o Krymie. Robię to z tym większą przyjemnością, że mogę sobie wyobrazić, jak bardzo by sobie tego nie życzył.

Krym

W rozmowie z nowo powstałym portalem o nieco dwuznacznej nazwie Kanał Zero prezydent powiedział z chłopięcą szczerością, że „nie wie, czy Ukraina odzyska Krym”, po czym pogłębił skandal, dodając: „Krym jest szczególnie również ze względów historycznych, ponieważ w istocie, jeżeli popatrzymy historycznie, to przez więcej czasu był w gestii Rosji”.

Dla porządku: to ostatnie stwierdzenie jest faktycznie prawdziwe. Krym przyłączyła w 1783 r. do Rosji Katarzyna II – bynajmniej nie odebrała go Ukrainie, która wtedy nie istniała, tylko (mówiąc w uproszczeniu) Turcji. I od tego czasu, z krótką przerwą na okupację niemiecką w latach 1942–1944, półwysp należał do Imperium Rosyjskiego, a później ZSRR. Decyzja Chruszczowa o włączeniu go do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej w 1954 r. była całkowicie arbitralna, prawnie wątpliwa i – co ważniejsze – nie wyjęła Krymu spod panowania Rosji, bo przecież nikt nie miał wątpliwości, kto rządzi w Związku Radzieckim. Tak naprawdę Krym stał się ukraiński dopiero w 1990 r. W sumie w sferze rachunków Duda miał rację.

To jednak mniej istotne. Ważniejsza jest szczerść, z jaką polski prezydent powiedział to, co wszyscy myślą, ale z powodów politycznych starannie przemilczają: że powrót Krymu do Ukrainy jest mało realny. Żeby Krym wrócił do Ukrainy, Rosja musiałaby ponieść klęskę totalną, porównywalną z upadkiem III Rzeszy w 1945 r.,

kiedy to zwycięzcy na trzy lata zlikwidowali państwo niemieckie. Tego, jak się zdaje, oczekuje Ukraina.

Rosja

Tak przynajmniej wynika z wypowiedzi doradcy prezydenta Złenskigo Mychajły Podolaka, który wymienił ostatnio warunki rozpoczęcia

rozmów pokojowych: „Po pierwsze, Rosja musi doznać taktycznej porażki w Ukrainie. Po drugie, sankcje muszą działać skutecznie, co oznacza, że europejskie firmy muszą opuścić rynek Federacji Rosyjskiej. Po trzecie, w Rosji muszą rozpocząć się procesy, które obserwowaliśmy latem 2023 r., kiedy doszło do buntu, którego inicjatorem był Prigożyn. Wtedy być może będziemy świadkami poważnego wewnętrznego konfliktu społecznego w Federacji Rosyjskiej”. Jako niezbędny warunek wstępny negocjacji pokojowych Podolak dorzucił jeszcze „dobrowolne zrezygnowanie Rosji z broni nuklearnej”. Podolak oczekuje też rosyjskiej porażki „na szerszą skalę”, co ma wiązać się z utratą prawa weta w Radzie Bezpieczeństwa ONZ.

Mówiąc krótko: dla Ukrainy warunkiem rozpoczęcia negocjacji pokojowych jest całkowity upadek Rosji i jej bezwarunkowa kapitulacja. Z całym szacunkiem dla odwagi i determinacji narodu ukraińskiego: nic nie wskazuje na to, żeby był to scenariusz realny. Podobnie jak scenariusz definitywnego rosyjskiego zwycięstwa. Mamy do czynienia z impasem, do którego żadna z walczących stron nie jest gotowa się przyznać. Do tego stopnia, że nawet osobista wątpliwość co do ostatecznego ukraińskiego zwycięstwa – taka, jaką w swoim cokolwiek chłopięcym gadulstwie zwerbalizował prezydent RP – budzi oburzenie i powoduje incydent dyplomatyczny.

Czasem w takim momencie warto posłuchać kogoś z zewnątrz.

Ramos-Horta

Kogoś takiego na przykład jak José Ramos-Horta. Prezydent Timoru Wschodniego, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, wysłannik specjalny ONZ do różnych stref konfliktu. Polityk zupełnie niezwykły, w Polsce w zasadzie nieznany. Człowiek, który ćwierć wieku (1975–1999) spędził na wygnaniu z okupowanej przez Indonezję ojczyzny. W 1996 r. razem z timorskim biskupem Carlosem Filipem Ximenesem Belem otrzymał Nagrodę Nobla za „pracę na rzecz sprawiedliwego i pokojowego rozwiązania konfliktu w Timorze Wschodnim”. Z jedenaściorą jego rodzeństwa czworo zginęło z rąk indonezyjskiej armii. Co go skądinąd nie wyróżnia wśród rodaków: w indonezyjskiej okupacji zginęło co najmniej 100 tys. Timorczyków, według niektórych szacunków nawet jedna trzecia ludności.

Ramos-Horta wygrał wybory prezydenckie w 2007 r., przegrał w 2012 i znowu wygrał w 2022. Jedną z pierwszych decyzji jego drugiej kadencji było odznaczenie medalem za zasługi dla Timoru Wschodniego indonezyjskiego generała Abdullaha Mahmuda Hendropriyona, obarczanego odpowiedzialnością za wiele zbrodni, jakich indonezyjska armia dopuściła się w okupowanym Timorze. Odznaczenie wzbudziło wiele kontrowersji wśród dawnych antyindonezyjskich bojowników, ale – jak Ramos-Horta wyjaśnił ostatnio w BBC – Hendropriyon odegrał bardzo istotną rolę w początkach timorskiej niepodległości: wpłynął na to, żeby uzbrojone proindonezyjskie bojówki nie zdestabilizowały kraju. Pytany, czy nie uważa, że jest taki moment, w którym nienawiść uniemożliwia pojednanie – zwłaszcz jak ujął to Stephen Sackur, „ekstremalne” – odparł: „Naj-

wiejszym aktem sprawiedliwości nie jest zemsta, nie jest pociąganie sprawców do odpowiedzialności. Największym aktem sprawiedliwości było to, że cała międzynarodowa społeczność, włączając w to Indonezję, naprawiła błędy przeszłości, uznając niezależność Timoru Wschodniego”.

Timór-Leste

Timor Wschodni jest małym krajem, jednym z najmłodszych i najbardziej biednych na świecie. Ma mnóstwo problemów – polityczna nienawiść nie jest jednym z nich. Ramos-Horta wyliczał w BBC: „Mamy zero przemocy politycznej, nie mamy nie tylko przemocy, ale nawet napięć o charakterze etnicznym czy religijnym, nie mamy przestępczości zorganizowanej, mamy jedne z najbardziej wolnych mediów na świecie”. To prawda: w indeksie wolności prasy Timor Wschodni ostatnio awansował o siedem miejsc, dziś jest na 10., zaraz za krajami skandynawskimi. Polska, dla porównania, na 57.

Ze swoim „ekstremalnym” podejściem do pojednania José Ramos-Horta jest niewątpliwie politycznym oryginałem, porównywanym z Mahatmą Gandhim i Nelsonem Mandelą, na których zresztą często się powołuje. Ale niewątpliwie warto usłyszeć jego głos. O Ukrainie mówi tak: „Niezwykle rzadko wojny rozstrzygane są na polu bitwy. Nie sądzę, żeby na Ukrainie nastąpiło zwycięstwo militarne którejkolwiek ze stron. Rozwiązaniem jest dialog. Wszyscy w końcu angażują się w dialog, kiedy obie strony są wyczerpane. Dlaczego, pytam, nie zaangażować się w dialog już teraz: żeby uniknąć dalszego zniszczenia, dalszej przemocy? Dialog wymaga odwagi do rozważenia ustępstw z obu stron”.

Rosja wcześniej czy później będzie musiała zaakceptować fakt, że Ukraina znalazła się w strefie wpływów Zachodu, że dąży do Unii Europejskiej i NATO. Ukraina zaś musi zrozumieć, że odzyskanie Krymu nie jest realistycznym celem. Fakt, że wyrażenie jakiegokolwiek wątpliwości w tej sprawie naraża każdego zachodniego polityka na zliczowanie, oddala moment, w którym obie strony rozumieją, że jedyną drogą do pokoju jest dialog.

Pytanie: czy rzeczywiście jest to w interesie Ukrainy?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA



Rys. OBYWATEL JANEK

ETYKA BEZBOŻNA

Trwają wielkie poszukiwania Zbigniewa Ziobry, który oficjalnie choruje na raka, nieoficjalnie choruje na tego raka w pewnej rozmiłowanej w o. Rydzyku lubelskiej klinice, a wedle domysłów części dziennikarzy jest zdrow i bawi we Włoszech i tylko udaje chorego, żeby uniknąć odpowiedzialności za swoje machloje z Funduszem Sprawiedliwości i wszelkie inne. I nikt nie wie, jak jest naprawdę. Nie przypominam sobie sytuacji, aby po kilku tygodniach od czyjegóż zniknięcia naprawdę dziennikarze nie mieli ustalonej opinii, co się stało. A więc punkt dla Ziobry! Udało mu się skutecznie wywieść w pole tropiących go dziennikarzy. Tylko po co? Dyskusja specjalistów na temat tego niedziennego wydarzenia jest pasjonująca. Pozwólcie, że zreferuję padające w niej argumenty, bo to ciekawe i pouczające. Chodzi mi jednak nie o to, aby zając stanowisko odnośnie do miejsca pobytu Ziobry, lecz o opisanie sytuacji od strony etycznej.

W chowanego ze

Otóż zwolennicy tezy o ukrywaniu się przez Ziobrę zauważają, że to byłby isticie cudowny zbieg okoliczności, gdyby raka wykryto u niego wręcz co do dnia akurat wtedy, gdy utracił władzę w swoim potężnym resorcie. Poza tym, gdyby naprawdę był chory, to nie miałby powodu, aby się ukrywać i przekazywać informacji o swoim stanie przez partyjnych kolegów, jak to się właśnie odbywa. Po prostu opublikowałby selfie ze szpitala jak wielu innych w podobnej sytuacji. Najwidoczniej więc albo nie zależy mu na tym, aby nie było wątpliwości, że jest chory (bo wtedy bez trudu sam mógłby je usunąć), albo nie dysponuje narzędziami, by te wątpliwości rozwiązać, gdyż wcale chory nie jest i zaszły się gdzieś za granicą. Zwolennicy tezy o prawdziwości Ziobrowego raka przyznają, że brak przekonujących zdjęć – autorstwa Ziobry bądź kogokolwiek innego – jest faktycznie czymś dziwnym,

lecz jeśli się ukrywa, to i tak ktoś powinien być go przyuważać i sfotografować. Na to jednakże zwolennicy tezy o mistyfikacji mówią, że tam, za granicą, jest ucharakteryzowany i trudno go rozpoznać.

Podstawowa kontrowersja jednakże dotyczy motywu i celu ukrywania się Ziobry. Niezależnie od tego, czy ukrywa się w szpitalu, czy za granicą, czy jest chory, czy też z pomocą lekarzy chorobę mistyfikuje (pozostając przy tym w szpitalu lub nie), w mocy pozostaje pytanie: po co? Nawet jeśli jest chory, to nie znaczy jeszcze, że musi być całkiem odcięty od świata. Nie musiałby zaraz aż przychodzić do sejmu, żeby dać znać o sobie. Najwidoczniej z jakiegoś powodu uznał, że uczestnictwo w toczącej się w kraju awanturze politycznej mu się nie opłaca. Na pytanie „dlaczego?” najprostszą odpowiedzi jest taka, że przypominając o sobie, ściągnąłby na siebie

Mazurek marszałka

Najśłynniejsi na świecie Polacy to emigranci.

Każdy Chińczyk zna przynajmniej dwójkę sławnych Polaków: Fryderyka Chopina i Marię Skłodowską-Curie. Bo uczą o nich w każdej chińskiej podstawówce. Dzięki temu w każdej chińskiej głowie pozostaje wrażenie, że Polacy to naród wielce przepojony kulturą i nauką.

Nazwiska Chopina i Mickiewicza zna też każde wietnamskie dziecko. Bo w każdej ich podstawówce uczą wiersza „Em oi... Ba Lan...”. Tłumaczonego u nas jako „Polsko moja” albo, mniej poprawnie, „Polsko, moja siostrzo”. Napisanego przez poetę To Huu. Odwiedził nas w marcu 1959 r., bo był gościem na III Zjeździe PZPR. Napisał wtedy wiersz dowodzący, że zjazdy partyjne też mogą pobudzać poezję, być kulturotwórcze. Warto napisać kiedyś referat o tym.

Ów poeta naprawdę nazywał się Nguyen Kim Thanh. Pochodził z Hue, miasta, które pokochałem od pierwszego wejrzenia. To Huu to jego pseudonim przyjęty jeszcze w czasach młodości, konspiracji niepodległościowej. Poza poezją Huu zajmował się polityką i propagandą. Tam też odnosił sukcesy. Karierę państwową i partyjną zakończył jako wicepremier i członek Biura Politycznego Komunistycznej Partii Wietnamu.

Kiedy pierwszy raz usłyszałem, że Chińczycy znają zwykle te dwa polskie nazwiska, oburzyłem się nieco. Czemu tylko Chopin i Skłodowska-Curie? Czemu nie znają więcej? Przecież wśród moich rodaków aż roi się od ludzi porażająco wybitnych. Ale zaraz potem zapytałem się siebie: a o iluż to wybitnych Chińczykach i Wietnamczykach obowiązkowo uczą w polskich szkołach? Ile nazwisk wybitnych Chińczyków i Wietnamczyków każdy polski uczeń wymienić potrafi? A jeśli zna, to ile z nich potrafi poprawnie wymówić?

Czy polska szkoła, zwyczajowo i programowo polonocentryczna i europocentryczna, pozbawia polskich uczniów szans na globalne kariery i światowe sławy?

Znani, bo wyjechani

Maria Skłodowska-Curie i Fryderyk Chopin to rzeczywiście globalnie znane polskie marki, firmujące swymi nazwiskami i polskim pochodzeniem swój niepodważalny dorobek w światowej nauce i kulturze. Są też światowymi wzorcami polskości.

A przecież Chopin nosił nazwisko ojca, spolszczonego Francuza, a imię dostał po swym francuskim dziadku. Maria Skłodowska przyjęła drugie nazwisko po swym francuskim mężu. I jako matka Polka rodziła dzieci też polsko-francuskie.

W roku 1911 Maria Skłodowska-Curie zgłosiła swoją kandydaturę do Francuskiej Akademii Nauk. Przepadła w pierwszym głosowaniu, choć wtedy była już laureatką Nagrody Nobla, trzykrotną laureatką Akademii Nauk w Paryżu, miała liczne doktoraty honorowe prestiżowych uniwersytetów.

Przepadła, bo była kobietą i, co gorsza, także cudzoziemką. Obywatelką szanowanego przez Francuzów rosyjskiego imperium, ale pochodzącą z ziem Polski, utożsamianą wtedy przez większość Francuzów z odległym dzikim terytorium i na domiar złego masowo zamieszkanym przez Żydów.

Aby oczernić wybitną uczoną, francuska prasa brukowa rozpowszechniała przypuszczenia, że ta Skłodowska zapewne nie jest urodzoną w katolickiej rodzinie Polką, jak się sama przedstawia,



tylko skrytą Żydówką. Na dowód przypominano, że Maria na drugie imię ma Salomea, co kojarzyło się wtedy z Salomé, imieniem noszonym często przez francuskie Żydówki.

W tamtej ksenofobicznej Francji, pamiętającej jeszcze gorące spory wokół sprawy Dreyfusa, samo już takie przypuszczenie wykluczało nawet wybitną osobę z dobrego francuskiego towarzystwa.

Pierwszą kobietę przyjęto do Francuskiej Akademii Nauk dopiero w 1962 r. Była to profesor Marguerite Perey, doktorantka Marii Skłodowskiej-Curie. Jej francuscy ksenofobi wytykali „żydowski nos”, sprzeczny z kanonem francuskości.

Władze francuskie w pełni uhonorowały Marię Skłodowską i jej męża Piotra Curie dopiero w 1995 r. – małżonkowie trafili wtedy do Panteonu, czyli paryskiego mauzoleum wybitnych Francuzów.

W Polsce Chopin doczekał się muzeów, pomników i ławeczek, magnesów i filmów mu poświęconych. Jest szanowany i sławny.

Maria Skłodowska-Curie została patronką Uniwersytetu w Lublinie. Doczekała się też kilku pomników i sfilmowanych dokumentów. Pomimo swej światowej rozpoznawalności nie była intensywnie i pomysłowo promowana przez polskie władze i krajowe instytucje. Może dlatego, że była też zdeklarowaną ateistką. Że miała nie tylko swojego, ale i cudzych mężów. Nigdy też nie pielęgnowała zalecanych przez ministra Czarnka „cnót niewieścich”.

Chopin i Skłodowska zrobili światowe kariery, kiedy wyjechali z Polski na stałe. Najśłynniejsi na świecie Polacy to emigranci. Aby zabłysnąć swym geniuszem, musieli uciec od polskiej „chaty z kraja”.

Zły radziecki

Dzisiejsi Polacy uważają ich za wzorce polskości, choć oboje, Chopin i Skłodowska, byli obywatelami ówczesnej Rosji. Imperialnej, autorytarnej, szowinistycznej. Antypolskiej też. Ale w II poł. XIX w. w tej Rosji pojawił się drapieżny kapitalizm. I wraz z nim szanse na iście napoleońskie kariery.

Zapewne pamiętacie, że szlachetny, bo powieściowy, polski kapitalista Stanisław Wokulski z „Lalki” Bolesława Prusa swe pierwsze prawdziwe miliony zarobił na wojskowych dostawach w czasie wojny rosyjsko-tureckiej w latach 1877–1878. Coś jednak musiało być na rzeczy. Rzeczywiście szefem sztabu rosyjskiej armii duńskiej był generał Artur Niepokojczycki. Polak, który zyskał wtedy wielką międzynarodową sławę.

Wojskowo był ten generał wyjątkowo nieudolny. Za to skuteczny był na innym polu. Oskarżano go o czerpanie wielkich korzyści z dostaw przeznaczonych dla żołnierzy. Pomagał on zapewne różnym, też polskim, biznesmenom skutecznie ukraszać swe pierwsze miliony.

Ale nie wszyscy Polacy z rosyjskimi paszportami zajmowali się wtedy jedynie rabunkami. Miliony Chińczyków znają Chopina i Skłodowską-Curie, ale nie uczą się w szkołach, że wspaniałe miasto Harbin i przebiegająca tam Kolej Wschodniocihńska zostały zbudowane przez polskich architektów i inżynierów. Najbardziej znany most w Harbinie, dziś jeden z symboli miasta, to dzieło Kierbedzia i Łętowskiego. Inny polski inżynier – Konstanty Jonkisz – stworzył pierwszy plan urbanistyczny przyszłego Harbinu.

Również Baku, stolica niepodległego dziś Azerbejdżanu, nabrało metropolitalnego stylu dzięki prestiżowym budowlom zaprojektowanym na przełomie XIX i XX w. przez polskich architektów: Józefa Gosławskiego, Józefa Płoskę, Kazimierza Skorowicza i Eugeniusza Skibińskiego. Baku mogło się szybko rozwijać, bo pracujący tam polscy inżynierowie opracowali technologie wydobywania i oczyszczania ropy naftowej. Zaprojektowali też pierwszy na świecie rurociąg do transportu wydobywanej ropy. Uczą się o tym azerbejdżańscy uczniowie. Polskich nie uczą się, bo ci światowej klasy inżynierowie i architekci formalnie byli obywatelami carskiej Rosji.

Jeszcze gorzej mają Polacy, którzy zdobyli światową sławę, mając obywatelstwo radzieckie. W stolicy USA mieści się Międzynarodowe Muzeum Szpiegostwa – atrakcja sennego Waszyngtonu, licznie odwiedzana przez turystów z całego globu. Polonofile znajdą tam nierzucające się od razu w oczy zdjęcie pułkownika Ryszarda Kuklińskiego. Za to dwóm innym Polakom – Feliksowi Dzierżyńskiemu i jego zastępcy Wacławowi Miężyńskiemu – poświęcono tam specjalną salę. Od razu widać, że Dzierżyński i Miężyński to światowa superliga szpiegostwa. Że to idole wszystkich światowych agentów, kandydatów na nich i milionów fanów wywiadu i kontrwywiadu. A pułkownik Kukliński to jednak liga okręgowa. Czemu Polacy, mając tak sławnych na świecie ludzi jak Dzierżyński i Miężyński, nie wykorzystują ich w promocji naszego wkładu w dorobek i osiągnięcia światowe?

Podobnie jest z Konstantym Rokossowskim, marszałkiem Polski i ZSRR. Skutecznie broniącym Moskwy w 1941 r., zwyciężcą spod Stalingradu, zdobywcą Prus Wschodnich i Berlina. Wslawionym wielką operacją wojskową „Bagration”. Rokossowski jest jedynym polskim marszałkiem, który zdobył skutecznie Berlin. Można rzec, że to istny skarb dla aktualnych przeciwników „IV Rzeszy Niemieckiej”. Mimo to prezes Kaczyński nie sięga po takie propagandowe złoto.

Był też Rokossowski represjonowany przez samego Stalina. Zesłany do obozu pracy. Już to powinno dać mu miejsce w narodowym panteonie bohaterów marszałków. Ale nadal jest ignorowany przez promotorów polskości. Podobnie jak Dzierżyński, w młodości dobrze zapowiadający się polski poeta. Obaj są bojkotowani, bo mieli radzieckie paszporty i zmarli poza granicami Polski. Na emigracji zarobkowej.

Chopin miał paszport rosyjski i też zmarł jako emigrant. I jego się nie czepiają.

PIOTR GADZINOWSKI

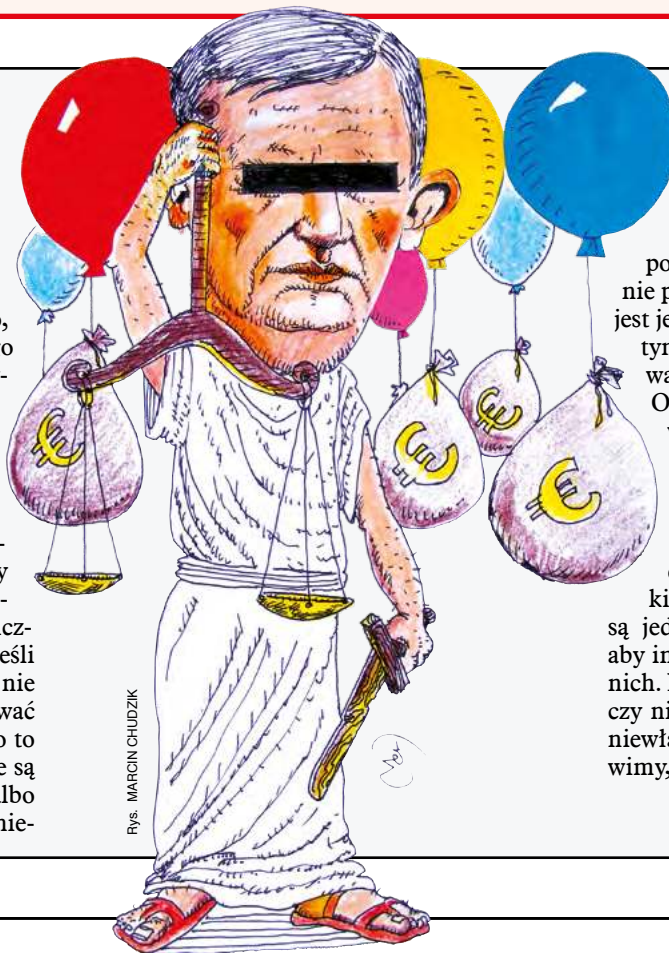
Zbyszkciem

pytania o Fundusz Sprawiedliwości oraz miłe zaproszenia na posiedzenia sejmowych komisji śledczych. Najbardziej uduchowiona odpowiedź jest natomiast taka, że będąc śmiertelnie chorym, całkiem przestał interesować się sprawami ziemskimi.

Jak to z tym jest naprawdę, tego dowiemy się kiedyś. Albo i nie. A może właśnie jutro jakiś tabloid opublikuje zdjęcie Ziobry z jakiejś plaży na końcu świata? Jednakże całkiem niezależnie od tych ewentualności można i należy ocenić aktualny stan rzeczy z moralnego punktu widzenia.

Z wielką trudnością przychodzi mi formułować okres warunkowy „gdyby Ziobro był uczciwym człowiekiem...”, ale inaczej się nie da, jeśli chcemy ocenić czyjeś postępowanie. A więc *horribile dictu*, jak to mówią uczone głowy: gdyby Ziobro był uczciwy, to rozwiązałby wszelkie wątpliwości co do faktów. Po prostu sam powiedziałab-

by, co się z nim dzieje. A uczyniłby to dlatego, że po pierwsze są powody, aby podejrzewać go o niecne ukrywanie się, a po drugie w przypadku osób publicznych, które odpowiadają za los wielu ludzi (minister sprawiedliwości zaś z pewnością do nich należy), to nawet jeśli ich władza już ustała, nadal obowiązuje je honorowa zasada transparentności. Choroba takiej osoby domaga się wyjaśnień, a jeśli istniejące wyjaśnienia są niewystarczające, to należy podać takie, które rozwieją wszelkie wątpliwości. Dlatego Ziobro powinien wystąpić publicznie i powiedzieć albo napisać, że jest chory (jeśli to prawda) i czuje się na tyle źle, że na razie nie może sprawować swojego mandatu i wykonywać swoich poselskich obowiązków, lecz jak tylko to się zmieni, to wróci do pracy w sejmie. Takie są standardy. A jeśli ktoś je łamie, to znaczy, że albo coś kręci, albo jest na tyle źle wychowany i nie-



zorientowany, że po prostu nie zna cywilizowanych standardów transparentności w sprawowaniu funkcji publicznych.

Teraz jakiś zwolennik Ziobry mógłby na to powiedzieć, że przecież informacja o chorobie została podana oficjalnie, a za podważanie jej wiarygodności pan Ziobro nie ponosi odpowiedzialności, wobec czego nie jest jego powinnością dowodzenie czegokolwiek tym, który wątpliwość w informację przekazywane prasie przez jego partyjnych kolegów. Otóż wiarygodność pana Ziobry jest, jak wiadomo, bardzo niska i jakiegokolwiek jego pretensje do tego, by wierzyć mu na słowo, są absurdalne. Gdyby był człowiekiem honoru, a więc takim, któremu wierzy się na słowo, to w obecnej sytuacji tym bardziej zależałoby mu na rozwianiu wszelkich wątpliwości. Ludzie honoru bowiem są jednocześnie ludźmi szczerymi i nie chcą, aby inni tkwili w błędzie lub niepewności co do nich. Niezależnie więc od tego, czy ma tego raka, czy nie, Zbigniew Ziobro zachowuje się wysoce niewłaściwie. Czemu się jakoś specjalnie nie dziwimy, prawda?

JAN HARTMAN

Polacy się nie pierdola

czyli jak materializuje się mokry sen JP2

Od lat rośnie odsetek Polaków, którzy nie uprawiają seksu w ogóle. Pokazują to wszystkie badania. W zeszłym roku miało tak 27 proc. z nas. W 2022 r. było to 26 proc., w 2021 – 24 proc., w 2020 – 21 proc. W ciągu czterech lat z seksem pożegnała się co 16. Polka i co 20. Polak.

Najwięcej abstynentów seksualnych jest wśród osób między 18. a 24. rokiem życia, czyli w grupie, która powinna seksić się najbardziej. Tymczasem do pełnego niewspółzucia przynajmniej 45 proc. tej najatrakcyjniejszej erotycznie grupy wiekowej. Co piąta osoba z widełek wiekowych 25–34 lata – kiedy wygląda się jeszcze, jeszcze – też absolutnie nie spółkuje.

Najaktywniejsi w łóżku są Polacy płci obojga łączący sobie 35–44 lata. Abstynencję seksualną zadeklarowało w tej grupie ledwie 14 proc.

Ślask ku wymarciu

Najnowsze dane pokazują, że populacja Polaków na koniec 2023 r. wyniosła 37,635 mln osób, co oznacza w ciągu roku spadek o 131 tys. Spadkobierców swoim zgonem w zeszłym roku uszczęśliwiło ok. 409 tys. osób. A ponieważ jest to o jakieś 39 tys. mniej niż rok wcześniej, to znaczy, że w umieraniu też się rozleniwiamy. Ale jeszcze bardziej Polacy opieprzają się w rozmnażaniu. W 2023 r. zarejestrowano ok. 272 tys. urodzeń żywych, czyli o 33 tys. mniej niż w poprzednim. Była to najniższa liczba urodzeń zanotowana w całym okresie powojennym.

Z danych GUS wynika, że najwyższą płodność wykazują kobiety w wieku 27–31 lat, czyli starsze o 6–8 lat w stosunku do danych z pierwszych lat transformacji ustrojowej oraz mniej więcej o 4 lata starsze od tych z początku XXI w.

Rodzące dziś kobiety najczęściej więc przyszły na świat na początku lat 90. A właśnie wtedy rozpoczął się szybki zjazd krzywej statystycznej narodzin w Polsce. To zaś oznacza, że z roku na rok grupa starających się o potomstwo będzie coraz mniejsza. Siłą rzeczy będzie więc rodziło się mniej dzieci.

Tendencji tej nie zmienia nawet „tysiąc plus” czy jakkolwiek inna forma zachęty do rozmnażania się. Po prostu więcej małych Polaków nie będzie miał kto rodzić. Opowieści, że coś zmieni się w nastawieniu kobiet do prokreacji, gdy aborcja będzie dozwolona, żłobki i przedszkola staną się powszechnie dostępne, a babcie dostaną od państwa gruby szmalec za opiekę nad wnukami, można włożyć między bajki. Posiłkowanie się przez polityków wzorcami z Czech lub Francji, gdzie polityka państwa wywołała *baby boom*, też jest bez sensu. W Czechach skok urodzeń był chwilowy i dawno się skończył, a we Francji dzieci przychodzą na świat głównie w rodzinach świeżych imigrantów.

Polacy decydują się na potomstwo dopiero po ustabilizowaniu sytuacji życiowej. Muszą więc mieć mieszkanie, i to pochłaniające w ratach i czynszu na tyle mało, żeby o dzieciaku można było w ogóle zacząć myśleć. Najpierw więc zbiera się latami na wkład własny, a potem czeka, żeby zarobki pozwoliły na odłożenie czegoś po opłaceniu raty. Nagle okazuje się, że ma się więcej niż 35 lat, więc zamiast użerać się z potomstwem, lepiej kilka razy do roku skoczyć w tropiki na jakiś *all-inclusive*. Dzisiejsi dziadkowie też nie ułatwiają młodym ludziom de-



Jak się rozmnaża Zachód

Zachód Europy boryka się z problemem demografii od dziesięcioleci. Tam, zamiast kombinować, już dawno znaleziono sposób na ubogacenie krajów nowymi obywatelami. W 2021 r. przeszło 827 tys. osób otrzymało obywatelstwo kraju będącego członkiem Unii Europejskiej. Najwięcej nowych obywatelstw przyznała Hiszpania – 144 tys., następnie Francja – 130,4 tys., Niemcy – 130 tys., Włochy – 121,5 tys., oraz Szwecja – 89,4 tys. W roku 2000 tylko 1436 osób uzyskało polskie obywatelstwo, a w roku 2022 liczba ta wzrosła do 10 122 osób. W latach 2000–2022 było to łącznie 83 166 osób – o wiele mniej niż w mniejszej od nas Szwecji w jednym tylko roku. Nasze władze oceniły się, widząc, że inne kraje od dziesięcioleci walczą o imigrantów. Polska złagodziła więc przepisy dotyczące przyznawania obywatelstwa cudzoziemcom: nie wymaga egzaminu z historii czy systemów politycznych jak Niemcy i Wielka Brytania, lecz jedynie obowiązkową znajomość polskiego na poziomie B1. Niemieckie statystyki mówią, że ok. 20,2 mln osób w Niemczech przeniosło się do tego kraju lub urodziło się w małżeństwach, które przeprowadziły się do RFN. Imigranci i ich potomkowie stanowią więc 24,3 proc. całej populacji liczącego ok. 83,2 mln ludzi kraju, który wciąż jest Niemcami.

czyji o dziecku. Zamiast umierać tuż po odejściu z roboty, żyją na tych swoich śmiesznych emeryturach przez dwie dekady. I zamiast uszczęśliwić wnuki mieszkaniem po sobie, sami wymagają wsparcia finansowego od dzieci. Przez co szmalec, którym dzieci te mogłyby wspomóc własne dzieci – czyli wnuki opóźnionych w umieraniu seniorów – idzie na rozdygotanych alzheimerowców.

Na nierozmnażanie wpływają też medycyna i cywilizacja. Przez nie ok. 1 mln par w Polsce – czyli co piąta – nawet jak chce, to nie może zająć w ciąży. *In vitro* pomaga tylko co drugiej takiej parze, więc *baby boomu* nie zrobi.

Celibat pornograficzny

Najważniejszy w robieniu dzieci jest seks. I to ten heteroseksualny. Im więcej ludzie się bzykają, tym bardziej rośnie szansa na zapłodnienie. Pre-

zerwatywa może przecież pęknąć, a wzięcie tabletki wyleci z pamięci. Albo zadziała kalendarzyk menstruacyjny, który od lat dostarcza wszak największą liczbę Polaków. Oczywiście ponad 100 tys. takich zapłodnień spłynie do kibla po skorzystaniu z ogólnodostępnych w sieci tabletek przerywających ciążę, ale drugie tyle niechcianych ciąż kobiety jakoś przełkną i je donoszą do porodu.

Z seksem Polek i Polaków coś jednak jest nie tak. Jedynie 1 proc. Polaków twierdzi, że uprawia seks codziennie. Jeszcze kilka lat temu do takiego wyczynu przyznawało się drugie tyle. 14 proc. z nas seks uprawia kilka razy w tygodniu. W pandemii 2020 r. takich osób było o 4 proc. więcej. Spółkowanie raz w tygodniu deklaruje 12 proc. Polaków. To też o 2 proc. mniej niż 4 lata temu. Taki sam spadek zanotowała ta część z nas, która twierdzi, że na figle zbiera im się kilka razy w miesiącu.

Gdy jednak aktywność seksualną podzielimy na płci, to też nic w zaniku popędu się nie zmienia. W przypadku facetów, jak i pań opowiadających o współżyciu seksualnym z różnymi częstotliwościami spadek jest taki sam.

Tendencję spadkową w seksie widać też w konkretnych przedziałach wiekowych. Kilka razy w tygodniu seks uprawiało 15 proc. Polaków mających 18–24 lata. To 3 pkt procentowe mniej wobec danych z 2020 r. W grupie wiekowej 25–34 lata odsetek takich deklaracji wyniósł 20 proc. – mniej o 5 pkt proc. Wśród ludzi w wieku 35–44 lata – 17 proc., czyli spadek o 4 pkt proc. Z tych, którzy mieli 45–54 lata, uprawianie seksu kilka razy w tygodniu deklarowało 14 proc. – też mniej o 3 pkt proc. Następna grupa wiekowa – 55–64 lata – z punktu widzenia dzieciństwa jest mało istotna, choć pozazdrościć można 8 proc. tych ludzi seksu

kilka razy w tygodniu. Najciekawsze, że właśnie wśród weteranów spadek w stosunku do tego, co robili w łóżku parę lat wcześniej, był najmniejszy – wyniósł 2 pkt proc.

Profesor Zbigniew Izdebski uważa, że za spadek aktywności seksualnej Polaków odpowiadają zmęczenie i stres. „Nigdy nie byliśmy tak zmęczeni jak dziś. Mamy duże aspiracje konsumpcyjne i dużo pracujemy, nierzadko na dwa etaty. Dotyczy to zarówno ludzi młodych, jak i tych w późniejszej fazie życia. Mniej zarabiamy niż mieszkańcy Europy Zachodniej, ale mamy podobne oczekiwania względem dóbr materialnych i wyjazdów za granicę” – twierdzi seksuolog. Badania to potwierdzają. Aż 31 proc. kobiet przyznało, że zmęczenie i stres utrudniają im odbycie stosunku seksualnego. W przypadku mężczyzn było to 21 proc.

Zosie Samosie

Ale seksuologowie podają też inne przyczyny: korzystanie z pornografii i gier komputerowych. To dla dzisiejszych młodych mężczyzn łatwiejsze niż podryw, więc swoje potrzeby seksualne zaspokajają przed ekranem. Tyle że kobiety też tak mają. 58 proc. z nich woli czerpać przyjemność z masturbacji niż seksu partnerskiego. Uprawia ją rzadziej niż raz w miesiącu co czwarta niewiasta. 6 proc. robi to kilka razy w tygodniu. Brak potrzeby masturbacji wykazują młodsze panie w wieku 18–25 lat i mieszkanki największych miast. Niestety, na samodzielną satysfakcję seksualną 6 proc. Polek ma wpływ Kościół – świadomość religijna przeszkadza im po prostu w masturbacji.

Dla przyjemności masturbuje się 57 proc. naszych rodaczek, dla relaksu – 39 proc., a co trzecia w celu rozładowania napięcia i stresu. Tylko dla 5 proc. masturbujących się pań jest to rodzaj gry wstępnej przed właściwym bzykaniem.

Zupełnie inne badania tłumaczą, dlaczego panie wolą się masturbować niż seksić z partnerem. Otóż 14 proc. Polek wstydy się swojego ciała podczas zbliżeń intymnych. Ma tak co piąta kobieta z przedziału 26–35 lat. Niezadowolonych ze swojego wyglądu jest 20 proc. mieszkanki dużych miast.

Duża grupa specjalistów od seksu wciska tezę, że

trzydziesto- i czterdziestolatki zostały wychowani w domach, w których seks traktowano jako obowiązek, a nie przyjemność. Ponoć z takim stereotypem dorastali jako pokolenie JP2 i na nim zbudowali swoją seksualność.

Mężczyźni wychowywani w latach 80. rośli więc w poczuciu, że facet to samiec alfa i musi zawsze dać radę. Dlatego dzisiejszy 35-latek wracający po 10 godzinach z pracy może nie mieć siły na stosunek płciowy, czym przyczynia się do wymierania narodu, który wydał tak antyseksualnego papieża.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Centralne Biuro Antykorupcyjne aresztowało pięć osób pod zarzutem łapówkarstwa. Łapówkobiorki mieli być zatrudnieni w Powiatowym Ośrodku Dokumentacji Geodezyjnej i Kartograficznej w Poznaniu. Według prokuratury za pieniądze przekazywano deweloperom informacje pochodzące z zasobów ośrodka na temat gruntów i ich właścicieli. Nie trzeba wielkiej docieklowości, aby dostrzec miałość zarzutów. Dane geodezyjne są zasadniczo jawne. Wygląda na to zatem, że urzędnicy zarabiali na boku, mając do nich prostszy dostęp niż zwykli śmiertelnicy. Czy wynagrodzenie za fuchę można nazwać łapówką?

■ Wrocławski budżet miejskiego programu *in vitro* wzrósł z 800 tys. do 2 mln zł. W styczniu rejestrowało się 76 par pożąających potomstwa poczętego w szkole. Od 2019 r., kiedy program został uruchomiony, skorzystało z niego 1400 par, a urodziło się 238 wrocławian.

■ Cierpią członkowie stowarzyszenia Śląskie Centrum Profilaktyki i Psychoterapii, które prowadzi sieć wegańskich restauracji Z Liścia. Nazywani są mordercami i zdrajcami, od kiedy ogłoszono, że knajpy obok potraw dla głodnych serwować będą dania mięsne. Jarska ideologia zderzyła się z brutalną wolnorynkową rzeczywistością. Ze sprzedaży dań z trawy, obierek ziemniaczanych, płatków owsianych i soi niepodobna było wyżyć. Restauracjom groziło bankructwo.

■ Nadaremno trudziło się 30 ludzi (w tym 22 ratowników Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego) i trzy śmigłowce, ratując dwóch turystów, którzy spadli z karkonoskiej Śnieżki w stronę Kotła Łomniczki przez tak zwaną Rynnę Śmierci. Już w chwili podjęcia akcji ratunkowej obaj mężczyźni byli martwi. 23-letni mieszkaniec województwa lubuskiego i 47-latek z Dolnego Śląska.

■ We Wrocławiu, jak to we Wrocławiu, policjant strzelał do kierowcy volkswagena passata, który wprawdzie zatrzymał się do kontroli drogowej, ale następnie – jak twierdzi policja – chciał rozjechać funkcjonariusza. Strzelający chybił z kilku metrów, co oczywiście świadczy o niskim poziomie wyszkolenia strzeleckiego wrocławskich gliniarzy. Policja poszukuje kierowcy, ponieważ jej zdaniem ktoś, kto ucieka przed gradem kul, zachowuje się nienaturalnie i w sposób sprzeczny z prawem. Na moment pisania tej notatki uciekiniera nie znaleziono, co dowodzi niejakich braków w pionie dochodzeniowo-śledczym tamtejszej komendy miejskiej.

■ Trzy zastępy straży pożarnej, patrol policji, straż miejska oraz prywatny transport medyczny wezwane zostały do chorego w Trzebnicy w województwie dolnośląskim. Mieszkaniec domu jednorodzinnego przy ul. Jagielly nie mógł wstać z łóżka, aby dotrzeć do karetki. Ratownicy medyczni też nie byli w stanie przetransportować starszego mężczyzny na noszach, gdyż na oko wazył on 200 kg. Skuteczne okazało się dopiero użycie strażackiego dźwigu.

■ Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych Solidarność podjął uchwałę o ogłoszeniu strajku generalnego rolników na terenie całego kraju. Strajk rozpocznie się 9 lutego, czyli w piątek. Wiązać ma się z blokadami przez traktory i snopowiązałki dróg dojazdowych oraz przejść granicznych z Ukrainą, przez które importowane są o wiele tańsze niż na rynku unijno-europejskim produkty rolne. Protest jest zatem tak ekonomicznie, jak i moralnie podejrzany.



Agresywna windykacja specjalnością polskiej gospodarki.

Wyobraźcie sobie 757 mln zł zysku w rok na dynamicznie rozwijającym się rynku. Otwarta linia kredytowa w trzech bankach na pół miliarda złotych. Wzrost zatrudnienia w ciągu ostatnich dwóch lat o 50 proc. Rentowność aktywów – 34 proc. w trzy kwartały ubiegłego roku. Obligacje na 250 mln zł sprzedane na pniu. Kozackie wejście na rynki Hiszpanii, Włoch, Rumunii, Czech, Słowacji i Niemiec. Po prostu, kurwa, lider biznesu!

Przesłałem ten opis do znajomego analityka finansowego, który się chwalił, że potrafi rozpoznać, czym zajmuje się przedsiębiorstwo, czytając jedynie jego księgi rachunkowe. – To w Polsce niemożliwe – stwierdził. – Musieliby wymyślić lek na raka, teleportację albo odnaleźć alchemiczną tajemnicę przemiany ołowiu w złoto.

Śmiał nawet twierdzić, że taka firma nie istnieje, albowiem jest człowiekiem dobronudnym, świadkiem Jehowy wierzącym, że dobre wyniki finansowe są rezultatem lepszego zaspokajania rzeczywistych potrzeb społecznych przez przedsiębiorstwo.

Mylił się, nie biorąc pod uwagę, że bardzo pozytywne efekty finansowe przynoszą przede wszystkim przedsiębiorstwa będące nowotworami gospodarki i cywilizacji. Pracujące na zgubę ludzkości i jej przedwczesną śmierć. Przemysł zbrojeniowy, handel narkotykami, piramidy finansowe (co tam u posła Palikota?), hazard i bimbrownie buchalteryjnie przynoszą wartość dodaną, natomiast praktycznie rzecz biorąc, pożerają zasoby planety, które – właściwie alokowane – mogłyby sprawić, że nasza cywilizacja skolonizowałaby już dna oceanów.

Kruk jak sęp

Owe rewelacyjne wyniki, ostatnio opublikowane, należą do spółki akcyjnej Kruk, zajmującej się windykacją niemożliwych do odzyskania w normalnym trybie pożyczek bankowych. Im tych błędnie udzielonych przez banki kredytów więcej, tym Krukowi powodzić się będzie lepiej.

Za tymi zyskami stoją tragedie setek tysięcy ludzi w Polsce, którzy pożyczili, bo potrzebowali, i nie mogą oddać. Część to zapewne zwykli cwaniacy i naciągacze, którzy w każdej zbiorowości stanowią jakiś margines. Znakomita większość jednak to uczciwie zarabiający na chleb, którzy musieli pożyczyć, bo pralka się popsuła, matka umierała, a lekarz żądał łapówki. Chcieli poprawić sobie warunki mieszkaniowe, mylnie uznając, że nigdy nie stracą pracy. Rozpoczęli studia, na które nie było stać ich rodziców, weszli w biznes, który skończył się kląpą.

86 proc. klientów Kruka to właśnie takie niewiele z tej windykacji rozumiejące moški, którym się wydawało, że najlepszym sposobem ucieczki przed wierzycielem jest nieodbiieranie awizowanych listów z banku, utrzymywanie ich tonie:

„Szanowny Panie, z najwyższą przykrością informujemy, że z powodu powstałych zaległości, zmuszeni jesteśmy wymówić Panu umowę pożyczki, którą musi Pan w wysokości 300 tys. zł spłacić w ciągu tygodnia, a jeżeli Pan nie ma, to odsetki wynoszą 25 proc. miesięcznie. Sprawa oddana będzie do działu windykacji lub przekazana do windykacji zewnętrznej. Pracownicy tych instytucji wybrani zostali w drodze starannej rekrutacji. Spośród umiarkowanych głupców, kłamców, chamów i innych bezproduktywnych jednostek wybraliśmy tych z najwyższej półki. Ich natrętne telefonny, obraźliwe i pokrętne pisma, namolne esemesy otrzymywać będzie Pan w dzień i w nocy, w święta i w dniu pogrzebu teściowej. Aż nie zdecyduje się Pan sprzedać wszystkiego, co posiada, i naciągnąć sąsiadów, aby spłacić i tak niespłacalny dług. Wysiłki będą daremne, gdyż nabawi się Pan nadciśnienia, nerwicy i depresji, które wpędzą Szanownego Pana do grobu. Pana dzieci i tak spłacać Pana będą przez całe życie i życie ich dzieci.

Nasłemy na Pana agencje ochrony i komorników, którzy wyłamią nawet łomami drzwi mieszkania Pańskiej kochanki, gdzie chciałbyś się Pan schronić

przed karzącym mieczem sprawiedliwej windykacji. Wyrząśniemy z Pana kieszeni ostatnią złotówkę, spieniężymy Pana protezę stomatologiczną i niech się Panu nie wydaje, że przepisanie samochodu na sąsiada w czymś Panu pomoże.

Jest nam naprawdę przykro, ale jesteś Pan sam sobie winien. Nadszarpnąłeś Pan nasze zaufanie, wprowadziłeś w błąd co do swojej prawdziwej zdolności kredytowej, a może chciałeś żyć ponad stan, kosztem oszczędności na lokatach naszych klientów”.

Oczywiście prawdziwe pismo jest nieco bardziej stonowane, ukwiecone eufemizmami. Ale owo hipotetyczne oddaje rzeczywistą sytuację życiową człowieka, który podpadł systemowi bankowemu. W gruncie rzeczy stracił wolność, chociaż nie siedzi w więzieniu. Podąża po prostu ku swemu tragicznemu przeznaczeniu.

Jajogłowi partacze

Winien tego stanu rzeczy jest polski system bankowy, który jest największym producentem buble w historii gospodarki. Problem złych kredytów, czyli wymówionych umów, to obecnie 160 mld zł. Przyrasta w tempie 9 proc. rocznie. Chodzi mniej więcej o dziewięć milionów złych pożyczek, które w ogóle nie powinny być dane.

Biorąc pod uwagę, że zasadniczym produktem bankowym jest kredyt (lokaty co do swojej istoty nie przynoszą dochodów – trzeba je pożyczyć,

Bestia z dziobem

aby przynosiły zyski), system ten mimo swoich analiz, wiedzy i fachowych doradców pomylił się dziewięć milionów razy. Wyobraźmy sobie, że w naszym 38-milionowym narodzie służba zdrowia przyznałaby się do dziewięciu milionów pomyłek. Jakiś producent żywności oświadczyłby, że dziewięć milionów opakowań mleka zawierało toksyczne substancje, albo minister oświaty przyznał, że w ostatnich latach szkoły wykształciły dziewięć milionów dzieci o umysłowościach debili. Ludzie wyszliby na ulicę. Krew ściekałaby do kanalizacji. Przy czym wyprodukowanie zdrowego mleka jest trudne i na ogół się udaje, natomiast przyznanie dobrej pożyczki, co odbywa się „przez internet, bez wychodzenia z domu”, powinno być działaniem łatwym. Stąd pytanie, czy w istocie trudność istnieje, czy może są to zamierzone pomyłki?

Prawdą jest bowiem, że system bankowy więcej zarabia na złych kredytach niż na tych spłacanych w terminie. Odsetki od odsetek, koszty operacyjne, koszty manipulacyjne, opłaty sądowe, opłaty windykacyjne, a w końcu licytacje ruchomości i nieruchomości zdecydowanie poniżej ich wartości to jest zły złota, którą eksploatuje między innymi rzeczona na wstępie firma Kruk. To nie wszystko. Nie-szczęśnicy, topiąc się w długach, opłacają się jakimś firmom antywindykacyjnym, kancelariom, a nawet bandytom, starając się ocalić skórę.

Jeżeli przyrzeć się raportom finansowym Kruka, emitowane przez niego obligacje wykupywane są przez banki, a oparte na długach, które przez owe banki zostały wyprodukowane. Na swoim brakoróbstwie system bankowy chce zarobić dwa

szybciej niż Szewińska, gdy żyła, a tej Kaczmarek nie było jeszcze na świecie. Inne też były wówczas stopery, a owe dwie dziesiąte sekundy mieszczą się w granicach błędu pomiarowego. Więc może Szewińska niepotrzebnie się przewraca.

■ Jakub Sławek, ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, powiedział, że polska gospodarka przystąpiła do ofensywy na emiracki rynek produktów spożywczych. Najlepiej sprzedają się krówki, takie cukierki mleczne kajmakowe z ciagliwym środkiem. Są przysmakiem mahometan i wielbłądów. Zasadniczą jednak barierą w rozszerzaniu bilateralnych stosunków gospodarczych jest to, że Arabowie jednoczeni nie piją wódki, a handlowcy z Rzeczypospolitej jak najbardziej wódkę piją.

■ „Urząd Miejski w Bytomiu nie zwróci Ci żadnych pieniędzy za zrealizowaną w poprzednich latach usługę odbioru i zagospodarowania odpadów wytworzonych w Twoim domu” – podobnej treści anonsy dostrzegliśmy na witrynach internetowych samorządów Warszawy i Warki. Jak się okazuje, chodzi o przeciwdziałanie jakiejś nowej formie



Ilustr. PAVEL FERENC

średnio w gospodarkę realną z myślą o interesie i wsparciu wspólnoty.

Potrzebny jest taki model bankowości, którego źródłem zysku są inwestycje w produkcję dóbr, świadczenie usług i partycypacja w zyskach z ich sprzedaży, a nie kreacja długu kredytowego. Chodzi też o solidarne dzielenie ryzyka kredytowego w proporcjonalnym podziale pomiędzy bank a klienta,

a zatem również przyszłych zysków lub strat z zainwestowanych środków. Chodzi o bankowość, która nie pomnaża pieniędzy na zasadzie kreacji długów i operuje rzeczywistym kapitałem pochodzącym z depozytów. Zysk banku nie może być wcześniej znany i oparty na jakichś abstrakcyjnych, wyspanych z palca prezesa banku centralnego i Rady Polityki Pieniężnej stopach procentowych. Oczywiście jest, że inny przychód z zainwestowanego kapitału wyprodukuje dom pogrzebowy, a inny – komercyjna izba porodowa. Bezodsetkowe pożyczki i inne produkty bankowe zlikwidują sztuczną kreację fałszywego pieniądza i przerwą niczemu niesłużące spekulacje na papierach wartościowych (akcjach, obligacjach oraz instrumentach pochodnych). Zakończy się też łajdacki, wynikły z chciwości, nieumiarkowania i egoizmu, kreujący niesprawiedliwość, nierówność i choroby somatyczne handel długami. Zjawisko podobne temu, a polegające na zbywaniu wierzitelności, oczywiście pozostanie, ale inne będą jego fundamenty oraz cele.

Zapewne teraz sobie myślicie: „Yhm! Jaruga zwaśniwał po raz kolejny”. No właśnie nie, bowiem taki system istnieje i obsługuje 500 mln ludzi. Powyższy wizjonerski opis przemysłu bankowego inspirowany jest notatką z „Encyklopedii Britannica”, dotyczącą arabskiej bankowości, gdzie bezodsetkowość wynika z zapisów Koranu, który jak każda święta księga zawiera nie tylko bzdury.

Reforma albo rewolucja

Jest terapia na nowotwór, którą rozpocząć trzeba, zanim system bankowy na trwałe zamknie się w swoich bunkrach ze stali i szkła, porozumiewając się ze światem zewnętrznym, w którym żyją prawdziwi ludzie i działa niewirtualna gospodarka, tylko drogą łączy telekomunikacyjnych. Wysysając życiodajną walutę z waszych kart płatniczych i kont oszczędnościowych bez żadnego umiaru i opamiętania, w myślnym przekonaniu, że coraz większe zyski zapewniają mu rosnącą stabilność, bezpieczeństwo i sobiepaństwo.

Nie, nie! Albo arabska reforma, albo arabska rewolucja. Rozumiem te obiekcje związane z – powiedzmy – owymi nieprzyjemnymi zdarzeniami w londyńskim metrze itd. Ale nie zapominajmy, że światowa bankowość w ogóle bazuje na przełomowym arabskim wynalazku, jakim są cyfry. Nasz europejski system znaków pisarskich, służący do notowania liczb, okazał się o wiele gorszy od tego, który pożyczaliśmy na wieczne nieoddanie od wyznawców Allacha.

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

WIEŚCI Z KRUCHTY

+ Proboszcz, który zdefraudował 1,2 mln zł, żeby zakupić kryptowaluty, usłyszał właśnie wyrok. Ks. Włodzimierz G. z kościoła filialnego w Gniewomierzu (woj. dolnośląskie) przywłaszczył sobie pochodzące z budżetów resortu kultury i tamtejszej gminy fundusze, które miały być przeznaczone na remont bazyliki w Legnickim Polu oraz parafii zarządzanej przez duchownego. Według ustaleń prokuratury ksiądz część zagrabionej kwoty przeznaczył na zakup kryptowalut, a resztę sobie wypłacił. Legnicki sąd uznał byłego proboszcza winnym zarzucanych mu czynów i skazał go na dwa lata bezwzględnej więzienia. Sąd orzekł również, że ksiądz ma naprawić szkodę: zwrócić resortowi kultury ponad 1 mln zł, a gminie – 15 tys. zł. Ma też zapłacić 15 tys. zł grzywny. Wyrok jest nieprawomocny.

➤ Przed Sądem Rejonowym we Wrześni rozpoczął się proces byłego proboszcza z Kostrzyna (woj. wielkopolskie) ks. Mateusza N., oskarżonego o molestowanie seksualne 13-latką. Sprawa wyszła na jaw w grudniu 2023 r. Wówczas delegat archidiecezji poznańskiej do spraw ochrony dzieci i młodzieży złożył doniesienie do prokuratury. Ks. Mateusz N. miał kilkakrotnie doprowadzić ministranta i ucznia szkoły, w której był katechetą, do poddania się innym czynnościom seksualnym. Do zdarzenia dochodziło kilka razy od września 2022 do stycznia 2023 r. w Kostrzynie. Duchowny nie przyznał się do postawionych mu zarzutów. Byłemu proboszczowi kostrzyńskiej parafii grozi do 12 lat pierdła.

+ Wyjątkowo niefortunnego rabunku dopuścił się pewien mieszkaniec Sopotu w jednej z tamtejszych parafii. 59-letni recydywista po jednym włamaniu i kradzieży wrócił do tego samego kościoła i próbował zawłaszczyc skarbnę z przytwierdzonym do niej aniołem. Na początku stycznia mężczyzna ukradł z kościelnej skarbnicy gotówkę w kwocie 50 zł. Podczas tego manewru zniszczył przytwierdzonego do niej warte go 1300 zł anioła. 25 stycznia rabuś wrócił na miejsce zdarzenia i nauczony doświadczeniem próbował zwinąć całą skarbnicę wraz z figurą skrzydlatego stwora. Sprawca zamierzonego czynu nie osiągnął z uwagi na postawę pracownika parafii, który go zobaczył i odzyskał skarbnicę z zawrotną – jak się okazało – sumą 2 zł i 50 gr. Policjanci zatrzymali poszukiwanego 59-latkę bez stałego miejsca zamieszkania i postavili mu zarzut kradzieży z włamaniem

w warunkach recydywy. Prokurator zastosował wobec niego dozór policyjny. Sprawcy grozi do 7,5 roku więzienia.

✦ Jak ustalił portal Interia.pl, co najmniej 250 tys. zł trafiło z Lasów Państwowych do prywatnej fundacji założonej przez ks. Tomasza Duszkiewicza. Organizacja otrzymała także w dzierżawę teren w Czerlonce na skraju Puszczy Białowieskiej. Atrakcyjne grunty pozostaną w jej władaniu do 2048 r., a miesięczny koszt wynajmu dla fundacji to 362,90 zł. Z racji zmiany kierownictwa w Lasach Państwowych transakcji przyjrzą się teraz kontrolerzy. Ks. Duszkiewicz jest kapłanem od 2005 r. Przez lata był szarą eminencją w Lasach Państwowych na Podlasiu. To zapalony myśliciel, wieloletni bliski przyjaciel Jana Szyski. Wiewiórki donoszą, że ksiądz ma bardzo dobre relacje z posłem Jarosławem Zielińskim, który miał duży wpływ na funkcjonowanie LP na Podlasiu.

✚ Ksiądz Janusz Chyła, proboszcz parafii pw. Matki Bożej Królowej Polski w Chojnicach (woj. pomorskie), dał wyraz swojemu niezadowoleniu ze zmian zachodzących w Polsce. „Jeśli Lewica koniecznie chce, to niech swoje eksperymenty przeprowadza na własnych rodzinach, a nie na całym społeczeństwie” – napisał duchowny na portalu X. Od lat apelujemy o to samo względem Kościoła.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



Rys. MIROSLAW HAJNOS

Seks po božen

Księża w sidłach pożądania.

Ksiądz też chłop – tak mądrość ludowa kazała pobłażliwie traktować na wsi „kuzynki” czy „gosposie” proboszczów, nieraz rożące dzieci ludzko podobne do duchownych. Doskonale też pamiętam, że w czasach mojej młodości, wczesnych latach 90., kiedycy rapery ze Wzgórza Ya-Pa 3 rymowali z pełnym zrozumieniem: „Bo nawet ksiądz lubi pieprzyć – przez to dla wirnych swoich dzieci będzie lepszy”.

Interesujące jest, że wspaniali mężczyźni w sutannach podlegają dokładnie tym samym procesom społeczno-kulturowym, co inni faceti w Polsce, co dokładnie unaoacza choćby „Sztuka obsługi penisa 2”, w której seksuolog Andrzej Gryźewski pokazuje – niczym antropolog Bronisław Malinowski – życie seksualne dzikich. Wiadomo wszak, że za sutanną panny bandą!

W gruncie rzeczy jednak wśród duchownych katolickich heteroseksualiści jawią się niekiedy jako mniejszość, i to często uciskana przez – jak by powiedzieli w Watykanie – lawendową mafie. Wielu nastolatków, których ciągnie do innych osób tej samej płci, idzie do seminarium, aby mieć dobre alibi dla rodziny, czemu się nie żenią. I czemu spędzają tyle czasu z innymi mężczyzmi, zamiast szukać towarzystwa kobiet. Jak wiadomo, najciemniej jest pod latarnią – skrajnie homofobiczni duchowni często spiąją z facetami, bo to ich po prostu kręci, takimi (mówiąc ich żargonem kościelnym) uczynił ich Pan Bóg.

Biskup seksoholik

Gryźewski lubi pracować z klechami, a oni z nim. Nie powinno to szczególnie nikogo dziwić, bo seksuolog trzeźwo i bez nadmiernego moralizowania patrzy na swoich pacjentów. Miał on w terapii kilkudziesięciu (*sic!*) księży i dwóch biskupów: „Jeden z nich umawiał się nieustannie na szybki seks przez aplikacje dla gejów, podrywał też mężczyzn na pikietach i w saunach, a jednocześnie czuł z tego powodu wielką odrazę do siebie. Czuł, że jest wadliwy. I on tę swoją wadliwość postawił na równi z wadliwością

księży pedofilów. Nie widział między sobą a nimi różnicy”.

Takie podejście hierarchy nie powinno bynajmniej ani trochę dziwić, gdyż w doktrynie katolickiej i homoseksualizm, i pedofilia przynależą do tej samej kategorii, czyli grzechów przeciwko naturze. Do tej samej szufladki tzw. nauka moralna Kościoła zalicza też robienie sobie samemu lub sobie samej dobrze. Seksuolog podkreśla, że takie podejście jest społecznie niebezpieczne, gdyż gejowski ksiądz, nawet gdy wie, że jego kumpel z branży jest zwyrolem krzywdzącym dzieci, nie doniesie na niego, aby samemu się nie ujawniać. Jak powiedział mu biskup: „Jeden, spadając z urwiska, pociągnie drugiego za nogi”.

Oczywiście ten stan rodzi wiele patologii. Ludzka seksualność to potężna siła, a kiedy się ją tłumi, rodzi to często agresję. Jeśli nie można się po prostu bzyknąć z kimś, kto też tego chce i może świadomie decydować o własnym ciecie, człowiek zaczyna samego siebie karać za grzeszne myśli i naturalny popęd. W skrajnych przypadkach dochodzi nawet do takich sytuacji, którą przeżyła pacjentka Gryźwieskiego: „Przyszła się wyśpowiadać, z tym, że to była taka sytuacja, że nie byłam konfesjonatu w pobliżu. Kłęknęła więc obok księdza, on ją przytulił, a ona po chwili poczuła jego erekcję na wysokości swoich ust”.

Święta hipokryzja

Jak świat światem popęd seksualny był, jest i w przewidywalnej przyszłości będzie potężną siłą, bo stanowi środek reprodukcji biologicznej naszego gatunku. Nie przez przypadek w jednej z polskich komedii z końcówki komuny, gdy państwo poluzowało rygoryzm moralny, zwykle przypisywany społeczeństwom wyrosłym z chłopstwa, pojawiły się pamiętne słowa: „Walka o dupę zawsze była ważniejsza od walki o ogień”.

Całe stulecia postrzegania księży jako duchownych – czyli nie-cielesnych! – skutkowało i nadal skutkuje wykonaniem teksańskiej masakry piłą mechaniczną na sferze seksualności. W najlepszej sytuacji są tzw. asy, czyli osoby

aseksualne, a także obdarzone bardzo niskim popędem seksualnym, który można sublimować: haratać w gałę z ministrantami, prowadzić grupę oazową czy cholera wie co jeszcze zrobić. Może i nawet coś sensownego.

A co z pozostałymi 95, a może 99 proc. księży?

Ilu klechów, tyle sposobów radzenia sobie z demonem, który leży – a czasem stoi – między nogami, aczkolwiek bardziej owo diabelstwo siedzi w głowie. Można choćby smarować penisa lidokainą, aby nie odczuwać bodźców. Można też nosić na nadgarstku gumki recepturki i strzelać nimi po każdej masturbacji. Jest też spowiedź, która ma oczyszczać z grzechów, choć jej nieodłączną częścią składową jest postanowienie poprawy.

Jak ujmuje to Gryźewski: „Tylko że kiedy odzywa się libido, znów pojawia się nerwica pogoń za orgazmem, wreszcie doświadczenie go, a po tym od razu ta fala wyrzutów sumienia, myślenia o swojej tożsamości, że jestem tutaj złym sługą bożym, że błędem. Seksualność takiego księdza robi się coraz bardziej uwikłana”.

Bo we mniej jest seks

Nie sposób zapominać, że problem tzw. czystości seksualnej księży jest niezwykle niewygodny dla Kościoła. Najwytrwalszy badacz rodzimego kleru – temat zaczął zgłębiać już w latach 80. – nieodżałowanej pamięci prof. Józef Baniak, już grubo ponad dwie dekady temu poświęcił pewnemu istotnemu wycinkowi problemu całą książkę zatytułowaną wprost „Rezygnacja z kapłaństwa i wybór życia małżeńsko-rodzinnego przez księży rzymskokatolickich w Polsce”.

Respondenci Baniaka, eksksięża, gremialnie wskazali właśnie problemy z celibatem jako przyczynę zrzuconia sutanny. I tu pojawia się bardzo ciekawa, zwykle niedostrzegana tendencja, którą uczony wyjaśnia następująco: „Zawód księdza celibatycznego sprzyja, choć może wydać się to dziwne, łamaniu ślubu czystości seksualnej, który diakoni składają publicznie w momencie swoich święceń duchownych przed biskupem.

Rodzina z krzyża zdjęta

Nauki papieża Polaka poszły w las i nie wróca.

polską moralność; moralność katolików, naszego społeczeństwa, zaprzęścić wiele ostatnich dziesięcioleci, także ośmiu lat, które były w mia-

re bezpieczne pod względem ideologicznym dla naszych dzieci” – diagnozował Ozdoba



RVS. HENRYK CEBULA

Były rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak przypomniał w serwisie X, że 2 lutego 1994 r. minęła 30. rocznica ogłoszenia przez papieża Jana Pawła II listu do rodzin „*Gratissimam sanem*”. Dokument, (jak na Papkę przystało) utrzymany w stylistyce plasującej się gdzieś między plastikową Matką Boską wypełnioną wodą z Lourdes i zeszytem złotych myśli dziecka z zespołem płodowego upośledzenia alkoholowego, sprowadzał się do wołania o ugruntowanie duchowej spójności rodziny. „W liturgii Sakramentu Małżeństwa celebrans modli się słowami: »Prosimy Cię, Boże, zeslij swoje błogosławieństwo na tych nowożeńców (...) i wlej w ich serca moc Ducha Świętego«. Trzeba, aby z tego nawiedzenia serc płynęła wewnętrzna moc ludzkich rodzin – moc jednocząca je w miłości i prawdzie» – splotził papież, a za nim powtórzył Pawlak.

Równoległe do wzruszeń nad podstawową komórką społeczną przystąpił jak do hejnału w TV Trwam Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny. Tu było mniej cukierkowo, choć równie wzniosłe, bo szło samo gęste i to po katolicku. „W ostatnich kilku tygodniach toczy się batalia o polską rodzinę, o małżeństwo i o przyszłość polskich dzieci. (...) Siłą i przemocą chce się zniszczyć

z gorliwością uległego ministranta. Tymczasem w kraju nad Wisłą z katolickimi rodzinami jest jak z badaniem jakości rodzimego piwa w dowcipie: jakby je wysłać do laboratorium, okazałoby się, że koń ma cukrzycę.

Również 2 lutego serwis Stacja7.pl donosił, że tylko w ubiegłym roku w Sądzie Diecezjalnym w Tarnowie zakończyło się 197 spraw o unieważnienie małżeństwa kościelnego. Wydano 175 wyroków, w tym 146 stwierdzających anulowanie małżeństwa zawartego przed obliczaniem klechy i bóstwa – najwięcej w historii tej instytucji, jak podkreślili autorzy. Sporo, jeśli wziąć pod uwagę, że rozwód cywilny przysługuje każdemu, natomiast w przypadku postępowania kościelnego o unieważnienie małżeństwa procedura jest wyboista, a powodzenie operacji mocno niepewne. Watykański konglomerat stoi na straży nierozzerwalności obrącz-

kowego sakramentu. Niezgodne po-
życie małżonków oraz zdrada nie
mają znaczenia, nawet jeśli jedno
z nich jest niewinne. Jako że pewne
zwyczaje nie podlegają negocjacji –
a w wyrachowaniu Kościoła trudno
dopatrywać się natury intelektual-
nej – wymyślił sobie ów Kościół,
że nie każdy związek zawierany przed
Bogiem jest prawdziwym i rzeczywi-
stym małżeństwem i w związku z tym
istnieją podstawy prawne do stwier-
dzenia jego nieważności, tj. uznania,
iż taki związek w ogóle nie istniał,
bo nie został ważnie zawarty. Jak się
okazuje, chętnych na wygumkowanie
chujowej inwestycji nie brakuje, bo
statystyki z Tarnowa to dopiero czu-
bek nabrzmiałego prącia Belzebuba.

Według raportu przygotowanego pod koniec 2023 r. przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego w 2000 r. liczba stwierdzeń nieważności ślubu kościelnego w kraju stanowiła 15 proc. wszystkich unieważ-

mu



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kobiety zaprzyjaźnione z księżmi nie akceptują ich celibatu i samotności zwłaszcza wtedy, kiedy widzą, że również sami księża mają kłopoty z własnym powołaniem kapłańskim i z wiernością ślubowi czystości”.

Kobiety czują pismo nosem i nie raz dostrzegają w zaprzyjaźnionych kapłanach kandydatów na stałych partnerów seksualnych lub nawet mężów. I zwykle księża uprawiają seks jeszcze przed zrzuceniem

szat duchownych, a nieraz mają ze swoimi partnerkami dzieci. Oczywiście niejeden klecha miał kilka kochanek, przy czym ukrywał je wzajemnie przed sobą. Ale co reżolutniejsze kobiety zachodziły w ciążę i wywierały skuteczną presję na odejście z kapłaństwa i sformalizowanie związku.

Jak podkreślał Baniak: „Tęsknota za małżeństwem z kochaną kobietą i za własną rodziną, a jednocześnie

trwale więzi emocjonalne i seksualne księży z kobietami były najczęściej wskazywane wśród świeckich powodów ich rezygnacji z kapłaństwa. Te dwa powody wskazało aż 4/5 księży diecezjalnych i 3/4 księży zakonnych, którzy porzucili kapłaństwo”. I dodawał, że nierzadko relacje seksualne są nawiązywane z byłymi uczennicami, które uczęszczały na katechezę. A zatem nie wszyscy, wbrew temu, co się może wydawać,

nień ślubów kościelnych w Europie. Obecnie udział naszego kraju w tym zakresie wzrósł do poziomu 26 proc. i wysunął nas na pozycję lidera w tym trendzie.

W grudniu 2015 r. weszła w życie reforma papieża Franciszka pt. „Mitis Iudex Dominus Iesus”, która nieco przyspieszyła procedury. Od tej pory do stwierdzenia nieważności małżeństwa kościelnego wystarczy orzeczenie sądu kościelnego I instancji, a nie jak dotychczas – I i II. Wprowadzono również tryb procesu skróconego (tzw. proces 45-dniowy). Mimo to kościelne sądy w Polsce są niewydolne, a liczba spraw nierozstrzygniętych oscyluje ciągle na poziomie 8,5–10 tys., co oznacza, że wynik narodowej niesubordynacji względem sakramentu mógłby być jeszcze lepszy. Patrząc z tej perspektywy, papieski apel z listu do rodzin przypomina głos srającego na puszczy, bo bardziej niż na wołanie wygląda na skowyt.

„Na rzecz zwątpienia zdają się usilnie pracować różne programy przy pomocy potężnych środków, jakie pozostają do ich dyspozycji. Niejednokrotnie trudno się oprzeć przeświadczeniu, iż czyni się wszystko, aby to, co jest »sytuacją nieprawidłową«, co sprzeciwia się »prawdzie i miłości« we wzajemnym odniesieniu do mężczyzn i kobiet, co rozбивa

jedność rodzin bez względu na oplakane konsekwencje, zwłaszcza gdy chodzi o dzieci – ukazać jako »prawidłowe« i atrakcyjne, nadając temu zewnętrzne pozory fascynacji” – białolił w liście Jan Paweł II niczym wypuszczony na fajkę pracownik zakładu pracy chronionej. Garnitur poglądów w identycznym kroju, ale nieco bardziej współczesnym fasonie, pokazał także Ozdoba: „Ta rewolucja ideologiczna, o której wielokrotnie mówiliśmy na antenie Radia Maryja i TV Trwam, znacznie przyspieszyła. (...) W zasadzie na wszystkich polach obserwujemy zmasowany atak na polskie rodziny i dzieci” – mówił w wywiadzie.

Naturalnie, ta pełna miłości chrześcijańska histeria o potężnym lobby LGBT, które rozбивa polskie rodziny, obmierzła już na tyle, że nie chce się nawet z niej żartować. Natomiast w zderzeniu z przyczynami, które najczęściej powodują rozpad katolickich małżeństw, ukoronowany unieważnieniem kościelnym, nieheteronormatywność wypada błado jak dupa wikarego. Z danych zwartych w raporcie ISKK wynika, że najczęściej powodem rozkładu przyklepanego pod krzyżem uczucia jest „niezaistnienie zgody małżeńskiej”, orzekane w aż 99 proc. przypadków. I owszem, ten brak zgody

może wynikać z biseksualizmu czy homoseksualizmu, ale główną przyczyną stwierdzenia nieważności małżeństwa jest niedojrzałość do podjęcia i wypełniania obowiązków małżeńskich. Ta najczęściej konkretyzuje się w patologii osobowości, uzależnieniach od używek, sportu, hazardu czy – to dopiero numer – matki. Na szarym końcu przyczyn w smutnych statystykach są impotencja czy wadliwa forma zawarcia małżeństwa.

Jakby na dobitkę, jeśli trend rosnącej z roku na rok liczby stwierdzeń nieważności ślubu kościelnego zawartego w Polsce się utrzyma, zdaniem autorów raportu może to stanowić zagrożenie dla sytuacji demograficznej w naszym kraju. Niezły *plot twist*.

Paweł Ozdoba w swoich social mediach polecił wszystkim lekturę książki autorstwa Wandy Półtawskiej „By rodzina była Bogiem silna”, opracowanej na kanwie papieskiego listu „Gratissimam sane”. On i jego pobratymcy wciąż widzą w pastwanej świni baranka bożego.

IDALIA DUBICKA

nudzą się na lekcji religii – dla niektórych to taki katolicki Tinder!

Miłe złego początki

Nomen omen kładzenie lachy na śluby czystości w przyszłości może uczynić Polskę bardziej kolorową (dosłownie!) i multikulti. W obliczu katastrofy na rynku powołań w rodzimych seminariach i sytuacji, w której księży ubywa szybciej niż wiernych – choć tych drugich też jest coraz mniej, co może tylko cieszyć –

konieczny będzie import duchownych z miejsc, gdzie młodzi chłopcy jeszcze chcą iść na księdza, w tym z Ameryki Południowej, a zwłaszcza z Afryki. Myślę, że niejedna bogobojna parafianka da takiemu czarnemu duchownemu zasmakować polskiej gościnności,

co wobec niechęci do grzesznej antykoncepcji może mieć dziewięć miesięcy później przewidywalne konsekwencje...

Jak przed laty śpiewał punkowy zespół o milutkiej nazwie The Bill („Historia pewnej miłości”): „Raz do roku to i księdzu wolno robić/To, co inni całe życie robią”. Ale romans z klechą nie zawsze kończy się happy endem jak filmy na Polsacie, bo pożałowania godnie dla niego często wiąże się z bezwzględnością surowością dla niej:

„Razu pewnego stała się rzecz straszna,

On nie miał kondoma, ona w ciążę zaszła.

Jemu jakoś wszyscy wybaczyli, A ją na stosie żywcem spalili”.

Z.J.



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WIARA CZYNI CZUBA

1. Senator stanu Oklahoma Dusty Deeverś zgłosił projekt ustawy, która przewiduje 20 lat więzienia i 25 tys. dolarów grzywny za wymianę świątecznych obrazków między dwójgim chętnych dorosłych – no, chyba że są małżeństwem. Karalne ma być „każde wizualne przedstawienie seksu, w tym seksu oralnego, analnego, BDSM, masturbacji lub prezentacja odsłoniętych części intymnych”, ale przepis ten „nie będzie stosowany w przypadku wysyłania sobie obrazów o treści seksualnej przez małżonków”. Za oglądanie grozić ma tylko rok. Senator Deeverś zdaje sobie sprawę, że karanie stosunków pozamałżeńskich w XXI w. może napotkać pewne trudności, nawet wśród jego kolegów partyjnych: „Staram się być wierny Panu, ale i powiedziałem mi, że ten projekt nie zostanie przekazany do komisji. Gdyby został, będę wyśmiewany i wyszydzany”. Zgadnij dlaczego.

2. Niejaki Aimeen D. Penny, 20-letni mieszkaniec Ohio, przynajmniej się do winy w procesie o obrzucenie koktajlami Molotowa Wspólnotowego Kościoła w Chesterland (CCC). Przyczyną, dla której młodzieniec postanowił podpalić małą prowincjonalną świątynię, bynajmniej nie jest wrogość wobec religii jako takiej. CCC przedstawia się jako kościół inkluzywny, ozdobił swój front tęczową flagą i w marcu zeszłego roku zaplanował brunch oraz „godzinę opowieści” z udziałem drag queen. Młodzieniec, członek neofaszystowskiej organizacji White Lives Matter (Białe Życie Ma Znaczenie), uznał, że obraża to Boga. Nalał więc benzyny do jednej flaszki po wódecie i jednej po piwie. Udało mu się osmalić front budynku i lekko nadpalić tęczowy transparent. Sami nie wiemy, co jest gorsze: nienawiść czy nieudolność.

3. Kanada po pokajaniu się za skurwysyństwo, jakim były szkoły rezydencjalne dla rdzennych mieszkańców, postanowiła pójść dalej i przeprosić także duchoborców. To mistyczno-pacyfistyczny odłam prawosławia, którego wyznawcy musieli uciekać z Rosji w XIX w., bo carat nie był zadowolony z ich skłonności do kwestionowania militarystyki i pozycji duchowieństwa. 8 tys. duchoborców wyemigrowało do Kanady, głównie dzięki pomocy Lwa Tolstoja, który oddał im dochody ze sprzedaży „Zmartwychwstania”, a także zorganizował powszechną zbiórkę. Władze kanadyjskie też nie były zadowolone z obecności sekty odrzucającej władzę i przemoc i zrobiły to, co w tamtym czasie robiły najłepiej: odebrały jej członkom dzieci, które wysłały do szkół z internatem, zakazały im mówić po rosyjsku i nawróciły na właściwe chrześcijaństwo. Teraz przepraszają. Zawsze to coś.

4. Brytyjski „Observer” publikuje wyniki dziennikarskiego śledztwa w sprawie szmeranego ośrodka odwykowego Narconon UK, który – jak się okazuje – jest prowadzony przez scjentologów. Techniki terapii, polegające na przykład na wielogodzinnych ćwiczeniach z gatunku wstań-usiądź, należą do repertuaru scjentologicznego prania mózgu i – donosi tygodnik – wielu uczestników melduje po nich poczucie dezintegracji osobowości i myśli samobójcze. Menedżer ośrodka Sheila MacLean mówi, że się czeplają, albowiem „studenci” (nazwanie ich „pacjentami” oznaczałoby konieczność poddania placówki nadzorowi ministerstwa zdrowia) są badani przez lekarza rodzinnego. Program poza musztrą obejmuje długie sesje w saunie i wysokie dawki witamin, a udział w nim kosztuje ok. 15 tys. funtów.

5. Sąd Najwyższy indyjskiego stanu Uttar Pradeś w Allahabadzie orzekł, że wyznawcy hinduizmu mają prawo odprawiać nabożeństwa w meczecie Gyanvapi. Meczet, zbudowany w XVII w. przez cesarza Mogolów Aurangzeba w świętym mieście Waranasi, służył muzułmanom od 350 lat. Zdaniem islamskiej mniejszości jest chroniony przez ustawę o miejscach kultu, która zamroziła status wszystkich świątyń aktualny na 15 sierpnia 1947 r. i zakazuje przejmowania ich przez inne wyznanie, ale hinduiści ogłosili, że uprawiali tam jasełka w piwnicy do 1993 r., więc są w prawie. Sąd zarządził wizję lokalną, która wykazała – zdaniem hindusów – obecność ikony hinduskiego boga Szivy. Meczet przekonuje, że nie jest to ikona religijna, ale część fontanny do mycia stóp. Sąd – niespodzianka – przychylił się do opinii hinduskich nacjonalistów.

Śmieci w chmurze

Obywatelski
rak pisowskiej
propagandy.



Rys. HENRYK CEBULA

W lipcu ubiegłego roku na półmetku kampanii wyborczej rząd Prawa i Sprawiedliwości z ówczesną minister klimatu i środowiska Anną Moskwą i pod przewodnictwem Mateusza Morawieckiego przekuł katastrofę ekologiczną w Zielonej Górze w propagandę sukcesu. Pół roku po pożarze hali z toksycznymi odpadami wszystko wskazuje na to, że opary politycznego absurdu sięgały wyżej niż rakotwórczy dym, a trup po decyzjach Moskwy będzie słał się gęsto.

Niby człowiek wiedział, ale się łudził

Sprawę pożaru składowiska niebezpiecznych chemikaliów w Przylepie, dzielnicy Zielonej Góry, opisywaliśmy w „NIE” (w tekście „Przylep-Zdrój” w nr. 32/2023). O Zielonej Górze zrobiło się głośno w całej Polsce 22 lipca 2023 r., kiedy zapłonęło pięć tysięcy metrów kwadratowych hali, w której od lat nielegalnie składowano beczki z substancjami, jakich nikt nie chciałby mieć w swoim sąsiedztwie: farbami drukarskimi, detergentami, acetonem, lakierami, toluenem, metylobenzenem, kadmem. Płonące pojemniki, wypierdalające w powietrze jak

w amerykańskich filmach, ściągnęły nie tylko kamery wszystkich stacji telewizyjnych, ale i wyrwały z foteli limuzyn dupy polityków ówczesnej partii rządzącej. Choć wydawało się, że fajerwerków tego kalibru nie da się zamieść pod dywan kampanii wyborczej, prędko się okazało, że dla ekipy Kaczyńskiego nie ma rzeczy niemożliwych.

Kiedy słupy dymu ze śmiertelnie toksycznym arsenem były widoczne z 30 km od miejsca pożaru, w rządowym sztabie kryzysowym zaczęły się powolne ruchy. Patrząc z perspektywy czasu, nie będzie przesadnym stwierdzenie, że na chłodno szacowano bilans zysków i strat związanych z zaistniałą sytuacją. Znając ustalenia zielonogórskiej prokuratury z 31 stycznia 2024 r., trudno mieć wątpliwości, że PiS, kładąc na jednej szali zdrowie i życie mieszkańców jednej ze stolic województwa lubuskiego, a na drugiej walkę o polityczny paśnik, dokonał wyboru słusznego jedynie dla swoich interesów.

Panujemy nad sytuacją

Jak przekazała na koniec stycznia prok. Ewa Antonowicz, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze, w ramach prowadzonego śledz-

stwa (o narażenie zdrowia i ludzi na dużą skalę) uzyskano dwie opinie biegłego z zakresu ochrony środowiska i gospodarki odpadami niebezpiecznymi. Pierwszą wykonano w lecie ubiegłego roku, drugą – na jesieni. Obie marszczą dupę. Powierzchnię skażonego terenu oszacowano na 65 ha. Do wód i gleby wciąż przedostają się niebezpieczne substancje. Co więcej, skażenie może sięgać rzeki Odry, bo tam wpływają zasyfione strumienie. Do środowiska dostały się węglowodory ropopochodne, związki metali ciężkich (w tym rtęć i cynk), a także substancje powodujące zasolenie (w tym chlorki i siarczany). W opinii wskazano, że doszło do istotnego obniżenia jakości gleby, wody oraz powietrza. Biegły wskazał, że w wyniku pożaru powietrze w regionie zostało zanieczyszczone substancjami rakotwórczymi i toksycznymi, a ich emisję należy liczyć w tonach. Szczególnie toksyczne i rakotwórcze, które dostały się bezpośrednio do środowiska wraz z wodami gaśniczymi, wykazują zdolność do kumulacji i wciąż migrują z wodami lokalnych strumieni. To największe skażenie w skali kraju.

Narracja, której pełną gębę miała w lipcu Anna Moskwa, w zestawieniu z opinią biegłych wyznacza nową gęstość w rządowych kocopołach. Rządowe Centrum Bezpieczeństwa, które swego czasu potrafiło wysłać alert dotyczący zmiany standardu nadawania telewizji naziemnej, o niebezpieczeństwie związanym z pożarem hali w Przylepie nie śpieszyło się poinformować. Składowisko chemikaliów płonęło od dwóch godzin, kiedy zdecydowano się wysłać komunikat o zagrożeniu do mieszkańców Zielonej Góry i okolic. Pociąg PKP ze stacji Zielona Góra Główna do Gdyni przez pół godziny wędził się w dymie z pożaru, w którym utknął na wysokości Przylepu, zanim zdecydowano się go cofnąć do stacji początkowej.

Moskiewskie kłamstwa

Uległy przypiływowi kaczyzłów najwyższego szczebla prezydent miasta Janusz Kubicki najpierw ogłosił w swoich social mediach ewakuację kilkunastu tysięcy mieszkańców z najbardziej zagrożonych terenów, aby po kilku minutach komunikat usunął i razem z pisowskim wojewodą Władysławem Dajczakiem zaczął wygłaszać hasła o braku niebezpieczeństwa, rzekomo poparte wynikami badań powietrza. Rytm tej orkiestry nadawała Moskwa. „Jestem na miejscu akcji gaśniczej

składowiska niebezpiecznych odpadów w Zielonej Górze. Odebrałam meldunek od służb. Na miejscu jest 200 strażaków, 64 wozy. Żadne z ujęć wody nie jest zanieczyszczone. Dotychczasowe pomiary powietrza nie wykazują przekroczeń” – napisała minister klimatu w serwisie Twitter. Wpis okrasila zdjęciem siebie samej w masce. W zamkniętym pomieszczeniu oczywiście.

Partyjne media prześcigały się w kolportażu propagandy jak wszy w roznoszeniu tyfusu. Władza robiła z ludzi durni i dopiero się rozkręcała. Dzień po pożarze miasto zezwoliło na półkolonie dla dzieci w Przylepie. Kilka dni później rząd PiS, który zapewniał, że jest bezpiecznie, na wszelki wypadek zmienił trasę pikniku „Rodzina 800+”, z którym objechał latem Polskę, i zamiast w Zielonej Górze zorganizował imprezę w Sławie. Miesiąc po pożarze w Przylepie odbyły się miejskie dożynki. Przedstawicielka prezydenta miasta cieszyła się na scenie, że jest już bezpiecznie. Na imprezę dowoziły darmowe autobusy, żeby zebrać jak największy tłum. Kiedy do kielbasy przygrywał zespół góralskiego disco polo, mieszkańcy wdeptywali w trawę azbest i wciągali w płuca dioksyny. Jeśli taką ilość toksycznych chemikaliów udało się zutylizować pożarem, to kto by się przejmował! Do firm sąsiadujących ze spalonym składowiskiem wrócili pracownicy. „Zielona Góra jest tak innowacyjna, że trzyma śmieci w chmurze” – śmiali się gorzko ci, którzy zapewnienia rządu i miejskiego wójarza mieli w dupie.

Janusz Kubicki robił fellatio ministerialnym talentom Anny Moskwy jak umiał najlepiej, powody do radości i przyczynę, by stać się diabełem, miał w ręce, a opiewała na 45 mln zł rządowej pomocy w usunięciu resztek składowiska. O ewentualnych powyborszych profitach lojalności nie wspominała. Nie doszacował, biedaczek, tanio sprzedał skórę. PiS przejechał wybory, a pieniędzy na likwidację rakotwórczego balastu nie wystarczyło. Problem i smród, zamiast zniknąć, zgęstniały.

Idzie rak, nieborak

1 lutego posłanka KO Elżbieta Polak i zielonogórcy radni wysłali do ministra sprawiedliwości Adama Bodnara wniosek o zabezpieczenie dokumentów i dowodów zgromadzonych w sprawie postępowania byłej już minister klimatu i środowiska Moskwy.

Mimo obszernej wiedzy o szkodliwości skutków pożaru nie wyznaczono strefy zero, nie ewakuowano ludności, wreszcie nie objęto monitoringiem stanu zdrowia przedstawicieli służb i osób pośrednich, które były narażone na oddziaływanie chmury dymów i gazów w trakcie gaszenia pożaru i po nim.

Wniosek Polak poparł Roman Giertych, szef komisji, która ma rozliczyć rząd Zjednoczonej Prawicy z największych afer.

Co wyniknie z tej całej historii? Śmiałem przypuszczać, że nic. Przy tej i podobnych okazjach jak bumerang wraca temat nielegalnie magazynowanych w kraju śmieci, w tym szczególnie niebezpiecznych odpadów, których zalegają tysiące ton. Mnogość pożarów, które nawiedzają tego rodzaju wysypiska, sprawiła, że problem spowszedniał, a balast lokalny jest niewart uwagi w Warszawie. Problem od lat wałkowany przez kadencje kolejnych rządów wypływa, ale jakoś nie może zniknąć.

Przykład Zielonej Góry pokazał, że każde gówno da się wdeptać w glebę. Zarówno ruchy nowego rządu, jak i wizja ukarania winnych oczywiście cieszą. Niemniej siła inercji tych działań w zestawieniu z długofalowymi skutkami, z jakimi będą się mierzyć mieszkańcy, jest żadna. A za chwilę gdzieś znów wybuchnie pożar, ktoś będzie żądał sprawiedliwości i o Zielonej Górze nie będzie pamiętał już nikt.

IDALIA DUBICKA

R E K L A M A

JAN KLATA
KIEDYŚ IDEALIŚCI, DZIŚ ŁAJDACY

MAŁGORZATA ŻUBER-ZIELICZ
PRACA DOMOWA, CZYLI CO?

DR HAB. JAROSŁAW JÓŹWIAK
CORAZ CZĘSTSZE ADHD

BANDERA JAK
„ŻOŁNIERZ WYKŁĘTY”?

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

GO ROBIŁO CBA

Weronika Marczuk
O MAFIJNYM UKŁADZIE PiS

Wraz ze zbliżaniem się wyborów samorządowych zaostrza się walka o swoje.

Generał de Gaulle skarżył się Churchillowi, że trudno jest rządzić narodem, który produkuje 324 gatunki serów. Ciekawe, co by powiedział, gdyby przyszło mu być prezydentem lub burmistrzem któregoś z polskich miast...

Nie burzyć!

W Szczytnej na Dolnym Śląsku mieszkańcy wystąpili przeciwko PKP. A konkretnie przeciwko decyzji przewoźnika, żeby zburzyć coś, co nie działa od kilkudziesięciu lat i nie będzie działało już nigdy. Jest brzydkie i to tak, że nawet wojewódzki konserwator zabytków nie odważył się tego wpisać na listę obiektów chronionych. A na dodatek grozi zawaleniem. Chodzi o wieżę ciśnię. Budynek, który dotychczas stał i niszczał, bo latami nie interesował się nim nikt. Gdy zaczęto z nią robić to, co nakazał inspektor budowlany, to nagle dla mieszkańców Szczytnej wieża zaczęła mieć wartość nie tylko historyczną, ale i sentymentalną.

Za komuny wraz z osiedlem na wrocławskich Popowicach wybudowano ciąg szopek, które służyły za garaże. Plan zagospodarowania dla Popowic powstał przed 15 laty i już wtedy garaże skreślono. Wiedząc to, właściciele szopek w grudniu 2022 r. skorzystali z prawa wykupu gruntów. I byli strasznie zaskoczeni, gdy w lutym dowiedzieli się o planowanym wyburzeniu garaży kolidujących z budową Portu Popowice. Koszty odszkodowań za 116 garaży pokrywa budżet miasta – cena za nie może wynieść ok. 9 mln zł. Protestujący posesjonaci oczywiście nie chcieli tych pieniędzy, bo – jak zwykle w przypadku protestów – chodziło im o zasady.

Nie świecić!

Mieszkańcy Gliwic zawzięcie zaprotestowali przeciwko iluminacji świetlnej. Ta zaś, nosząca nazwę Ogrodu Świąteł, pojawiła się w parku Chrobrego. Było to w listopadzie, kiedy park nie jest najliczniej odwiedzany. Wystarczyło jednak, że władze miasta ogłosiły, że Ogród Świąteł zajmie około połowy parku, a wejście będzie płatne do końca zimy, żeby ruszyły petycje, pikety i gorączka w lokalnych mediach. I oczywiście nie szło o to, żeby na coś nie pozwolić, ale o „dobrostan zamieszkujących park Chrobrego zwierząt”.

Nie przerabiać!

Ponadstuletni most na Jeziorze Elckim jest bardzo zniszczony. Należy go wyremontować, czyli znacznie wzmocnić. Zeby konstrukcja służyła bezpiecznie ludziom, władze Elku chcą wykreślić ją z rejestru zabytków i zacząć inwestycję. Zaprotestowali miejscowi, podburzeni przez lokalnych opozycyjnych polityków. Choć nikt nie znał projektu przebudowy ani nie miał pojęcia, o co chodzi, manifestanci żądali, żeby remont za o wiele większą kasę – z ich podatków wszak – zrobić pod nadzorem konserwatora, co nie będzie możliwe po wykreśleniu mostu z rejestru zabytków.

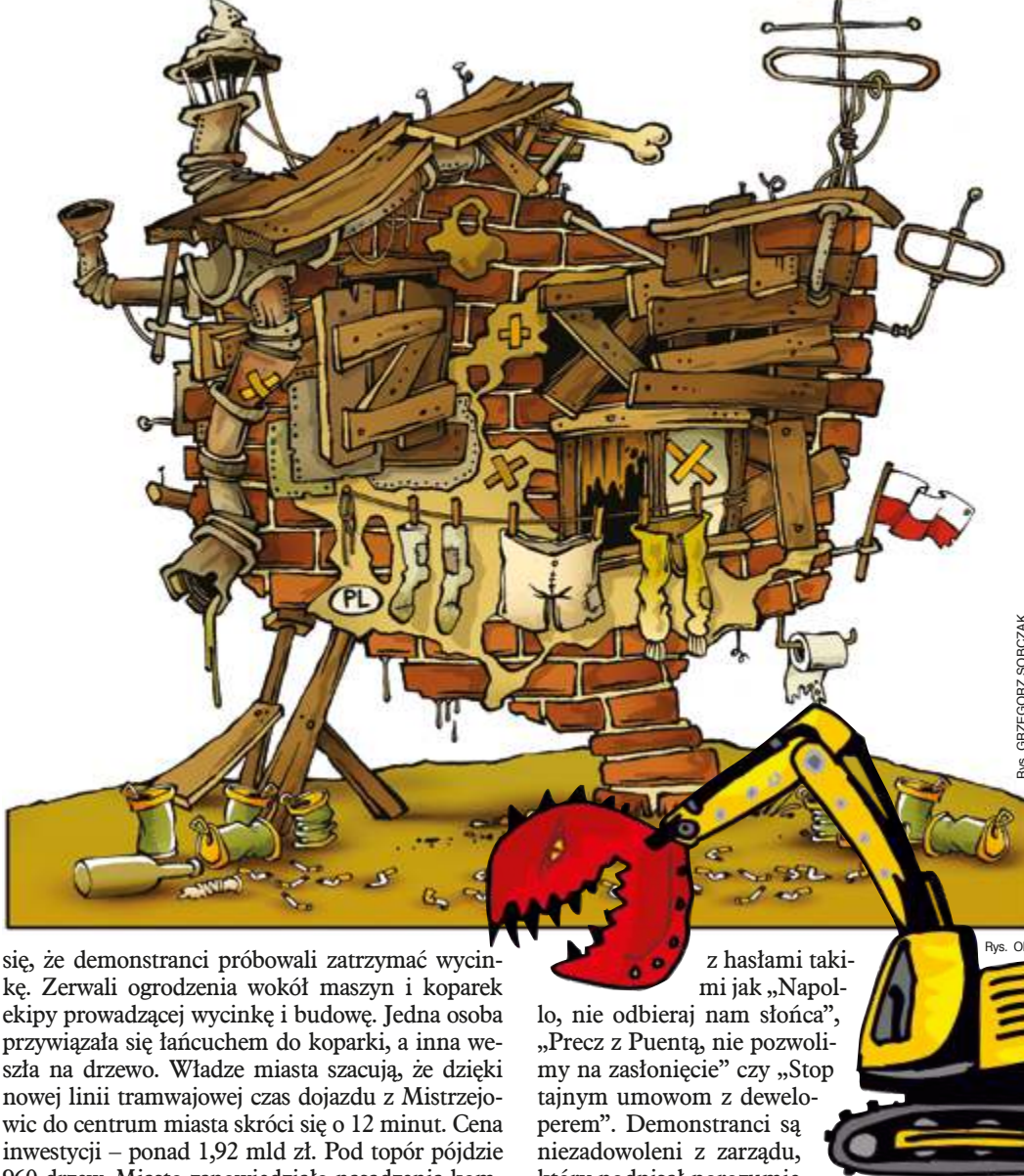
Kiedy budowano Nową Hutę, na osiedlu Teatralnym 19 w 1950 r. stanął budynek pełniący początkowo funkcję garażu. Rok później ułożono w nim stołówkę pracowniczą. Przez kolejne dziesięciolecia wprowadzano do niego handel, usługi, działalność produkcyjną, a także umieszczono biura. Od wielu lat stoi nieużytkowany, choć były nawet próby objęcia go rejestrem zabytków. Postępowanie w tej sprawie prowadził Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Krakowie. Ostatecznie stwierdził jednak, że budynek ma „nikłe wartości historyczne, naukowe oraz artystyczne”. Od jakiegoś czasu nieruchomości należy do firmy deweloperskiej. Ta zaś planuje rozbudowę i nadbudowę obiektu. Chce w nim umieścić 70 mieszkań. Na parterze mają być natomiast usługi. Firma dysponuje pozwoleniem na budowę, które jest aktualne, ostateczne i prawomocne. Organy administracyjne też nie kwestionują prawa do realizacji inwestycji. Protesty jednak są. Demonstranci bowiem uważają, że po planowanej nadbudowie budynek stanie się wyższy od sąsiednich. Ich zdaniem zaburzy to ład przestrzenny. Najpierw blokowali wjazd na teren budowy, potem pilnowali tego, by ciężki sprzęt budowlany nie uszkodził rosnących w pobliżu platanów, mających status pomników przyrody.

Komunikacji stanowcze „nie”!

Wynikiem intensywnego protestu mieszkańców opolskiej Pasiaki i ekologów jest decyzja tamtejszego Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego o wstrzymaniu budowy trasy średnicowej w Opolu. A to dlatego, że miałyby przebiegać przez obszar rosnącego pomnikowego dębu. Trasa średnicowa w Opolu miała zmniejszyć korki w mieście, a co za tym idzie – zanieczyszczenie powietrza.

Kilkuset mieszkańców protestowało przeciwko wycince drzew pod budowę linii tramwajowej do Mistrzejowic w Krakowie. Bywali wśród nich politycy i samorządowcy. Z Warszawy przyjechał między innymi aktywista Jan Śpiewak. Zdarzyło

Krajobraz przed starciem



Rys. GRZEGORZ SOBÓCZAK

Rys. OBYWATEL JANIEK

się, że demonstranci próbowali zatrzymać wycinak. Zerwali ogrodzenia wokół maszyn i koparek ekipy prowadzącej wycinak i budowę. Jedna osoba przywiązała się łańcuchem do koparki, a inna weszła na drzewo. Władze miasta szacują, że dzięki nowej linii tramwajowej czas dojazdu do Mistrzejowic do centrum miasta skróci się o 12 minut. Cena inwestycji – ponad 1,92 mld zł. Pod topór pójdzie 960 drzew. Miasto zapowiedziało nasadzenia kompensacyjne. Demonstrantów posadzenie nowych drzew nie przekonuje, zeroemisyjność tramwaju również. Ich zdaniem eliminacja drzew oznacza gorsze powietrze, bardziej odczuwalne upały oraz zniszczenie krajobrazu.

W sierpniu władze Katowic odrząbiły sukces: tramwaj na południe po kilku latach oczekiwania wreszcie otrzymał zielone światło. Tymczasem protestanci z osiedla Park Bażantów zażądali odstąpienia od budowy centrum przesiadkowego pod ich oknami. Chcieli też, by linia tramwajowa kończyła się całkiem gdzie indziej. Uważają bowiem, że inwestycja przyczyni się do degradacji terenów zielonych, a przeciwko Park Bażantów został wybudowany jako zielone osiedle. Podnoszą, że centrum spowoduje paraliż komunikacyjny. I tylko w rozmowach prywatnych dodają, że inwestycja przyczyni się do obniżenia wartości nieruchomości. Więc gdy centrum będzie zbudowane, to utrata wartości lokali stanowić będzie podstawę roszczeń do miasta o zapłatę odszkodowania. Katowice mają widać inaczej niż gdzie indziej, bo wszędzie na świecie miejscówki z dobrą komunikacją publiczną idą cenowo w górę.

Nie budować!

W Oleśnicy może powstać kolejny sklep wielkopowierzchniowy. Mogą też powstać pięciopiętrowe bloki. Mieszkańcy są przeciwni, demonstracje trwają.

Zamiast wysokiego budynku ludzie mieszkający przy ul. Piłsudskiego w Krakowie woleliby mieć przed oknami zielen. Mieszkańcy obawiają się, że finalnie powstanie tam nie 10, a 100 mieszkań. Stawiany apartamentowiec ma być wysoki na 23 m. Protestują od ok. 10 lat, choć na realizację inwestycji zostały wydane odpowiednie pozwolenia. Może dlatego, że w akcję włączył się nieustający kandydat do prezydentowania Krakowowi Łukasz Gibała.

Na warszawskim Bródnie też trwa spór między mieszkańcami a deweloperem o nazwie Napollo 9, który planuje wybudować kolejne bloki obok istniejącego już kompleksu. Protestujący swój sprzeciw wyrazili zawieszeniem banerów z przesteradeł. Na balkonach pojawiły się transparenty

z hasłami takimi jak „Napollo, nie odbieraj nam słońca”, „Precz z Puentą, nie pozwólmy na zasłonięcie” czy „Stop tajnym umowom z deweloperem”. Demonstranci są niezadowoleni z zarządu, który podpisał porozumienie z firmą, więc deweloper jest w prawie.

Mieszkańcy ul. Gościnniej w Rzeszowie również protestują przeciwko planom dewelopera, który – mając wszystkie pozwolenia – zamierza w sąsiedztwie niskich budynków postawić sześć bloków. Obawiają się, że inwestycja „zmieni na niekorzyść komfort ich życia”.

Komórki won!

Przybywa protestujących przeciwko postawieniu wysokiego masztu w sercu osiedla Młodych w Górlach. Demonstrantów wspiera Koalicja Polska Wolna od 5G. Ta bowiem uważa, że „Polska i inne kraje powinny się skupić na rozwoju sieci przewodowej (światłowód), a także promowaniu jej zalet (np. mniejsze zużycie energii). W wielu przypadkach używanie sieci bezprzewodowych jest niepotrzebne i mogą zostać zastąpione łączem przewodowym, np. w domu czy w biurze można używać telefonu i internetu przewodowego”.

Na ul. Bukowskiej w Skawinie również protestują przeciwko budowie masztu sieci komórkowej, tyle że na jednym z domów prywatnych. Demonstranci boją się o swoje zdrowie. Są zbulwersowani, że nikt nie pytał ich o zdanie. „Na swojej posesji będę pytał, czy mogę zrobić fotowoltaikę? I czy mogę następnym razem zrobić coś innego?” – odpowiada na zarzuty protestujących właściciel posesji z masztem.

Nie wyciszać!

Obok bloku przy ul. Fieldorfa-Nila w Krakowie postawiono betonowy ekran akustyczny. „Do tego muru można dołożyć tylko drut kolczasty i wieżyczki strażnicze na górze” – mówią mieszkańcy i protestują, prosząc miasto o wymianę 10-metrowej konstrukcji. Ekran powstał w ramach budowanej obok linii tramwajowej do Górki Narodowej i ma chronić przed nadmiernym hałasem z pętli autobusowej i tramwajowej oraz powstającego właśnie parkingu. Wśród manifestujących pojawiają się niebezpieczne skojarzenia. Twierdzą, że „to zaczyna wyglądać jak getto”, lub porównują betonowe ekrany do muru berlińskiego. Przypominając, że mur berliński miał ledwie 4,2 m wysokości.

Nie kręcić!

Najbardziej charakterystycznym domem w tele-noweli „Klan” jest willa na Sadybie. Tak naprawdę jest to zabytkowa willa Renata, położona w Podkowie Leśnej pod Warszawą. Jej właściciele przez wiele lat bez problemu wynajmowali zarówno budynki, jak i teren przed nim na potrzeby serialu. Ale to się skończyło. Protest sąsiadów wygonił filmowców i w Podkowie już się nie kręci. Powodem jest świeżo wyremontowana ulica. Według demonstrantów jeżdżąca po niej ekipa zdewastuje drogę, więc nie wolno filmowcom tam wjeżdżać. Protestujący tym razem są w prawie, bo zablokowali serial, nie zgadzając się na podpisanie ekipie realizacyjnej niezbędnych pozwoleń.

Nie oddrzewiać!

Protesty na ul. Płaskowickiej w Warszawie nie dały. Dwie topole z parkingu zostały wycięte. Drzewa były dorodne. Obwód pnia jednego z nich wynosił 191 cm, a drugiego – 130 cm. „Od lat obserwujemy te drzewa z okien mieszkań i one są zdrowe! Nie wolno tak robić! Przecież zostaniemy wkrótce bez zieleni” – skarżyli się mediom protestujących. Bo wiedzą lepiej niż dendrolodzy. Ci zaś wykazali, że sadzone tysiącami w latach 70. i 80. topole dożywają swoich dni. A w opisywanym przypadku „system korzeniowy drzew nie zapewnia wymaganej stabilności ich w gruncie, co wiąże się z ryzykiem zawalenia”. Opinia specjalisty zalecała wycinkę drzew, bo cięcia techniczne mogłyby jedynie pogorszyć ich stan, co skutkowało by mogło śmiertelnym przygnieceniem jakiegoś miłośnika zieleni.

Nie rozmnażać się!

Na warszawskim Żoliborzu ludzie oprotestowali budowę przedszkola ze żłobkiem przy ul. Ficowskiego. Gdyby swój sprzeciw skierowali na maluchy, media by ich zagryzły. Nie można przecież mieć czegoś przeciwko temu, że dzieciaczki drą buźki, więc powinny być przechowywane w kopalniach. Protestujący znaleźli zatem milion innych powodów.

Bo otóż budowa na tej działce trzypiętrowego budynku przedszkola ze żłobkiem na ponad 300 miejsc oraz parkingu dla 45 samochodów wiąże się z koniecznością likwidacji terenów zielonych. Poza tym inwestycja zakłada wycinkę ok. 200 drzew, więc przedszkole warto zbudować w innym miejscu i zachować zielony charakter terenu, przekształcając go w park.

Urząd odpowiada, że wycinka obejmie 184 drzewa, a w ramach kompensacji przyrodniczej planowane jest posadzenie 200 drzew i blisko 300 krzewów. Ale tylko protestujący uwierzyć urzędowi? Kolejny argument przeciwników przedszkola i żłobka dotyczy uzasadnienia inwestycji. Zdaniem demonstrujących budowa tej placówki w tym miejscu nie jest uzasadniona z powodów demograficznych, bo liczba dzieci się zmniejsza.

Ponieważ te argumenty nikogo nie przekonały, przeciwnicy dziecięcego hałasu sięgnęli po broń chemiczną. Obcałili, że na terenie działki przeznaczonej na budowę zespołu żłobkowo-przedszkolnego w przeszłości znajdowały się wojskowa bocznicza kolejowa, a w pobliżu istniały zakłady chemiczne. A w 2018 r. podczas wykopu fundamentów 100 m od planowanej inwestycji znaleziono wiele niebezpiecznych chemikaliów w gruncie, zapach ropopochodnych substancji zaś dawał się we znaki okolicznym mieszkańcom przez wiele miesięcy. Więc wielu protestujących „odczuwało strach przed negatywnymi następstwami tej sytuacji dla zdrowia, a szczególnie zdrowia dzieci”. Badania gruntu z maja nie wykazały przekroczeń chemicznych, ale zdaniem przeciwników budowy przedszkola wyniki analiz są takie, za jakie zapłacił urząd. Tyle słów, tyle kombinacji, żeby tylko nie powiedzieć, że chodzi o to, żeby bachory wrzeszczały pod oknami innych ludzi.

W Puławach w 2018 roku pewnym państwu przestało podobać się hałasy dochodzące z przyszkolnego boiska. Państwo poszło do sądu, a sąd uczyniając korzystania z boiska osobom, które nie są uczniami tej szkoły, w tym osobom dorosłym i klubom sportowym, oraz grania na nim po zmierzchu, bo oświetlenie boiska też drażniło sąsiadów. W związku z wyrokiem ratusz za ćwierć miliona złotych wybudował w 2022 r. ekrany akustyczne i zadecydował o udostępnieniu orlika wszystkim chętnym. Nie z protestującymi jednak takie numery. Poszli do sądu i najpierw przegrali, a potem wygrali. Miasto ma zapłacić 5 tys. zł grzywny. W przypadku jej niezapłacenia zostanie zamieniona na pięć dni aresztu wobec osoby reprezentującej miasto – znaczy prezydenta miasta Puławy. Prezydent Puław Paweł Maj najchętniej pokazałby to, co kiedyś Kozakiewicz, a ostatnio Kamiński, ale się powstrzymał. Uznał, że taki wyrok to zrządzenie losu w związku z kwietniowymi wyborami samorządowymi. I w przeciwieństwie do innych lokalnych polityków nie musi wspierać żadnego wydumanego protestu społecznego, wręcz przeciwnie.

Prezydent Maj zapowiedział zatem, że w obrobie młodych użytkowników boiska szkolnego jest gotowy pójść do pułki na całe pięć dni. Kalkulacja proceduralna wskazuje, że prezydencka niewola nastąpi tuż przed wyborami, w których oczywiście zamierza startować.

TOMASZ BOROWIECKI



**Jak świat
traci
poetów.**

Skórka z kota

Wiecie Państwo, Mychajło Podolak to taki ukraiński Żyd, wiecznie tułacz. Urodzony we Lwowie, kształcony i mieszkający długo na Białorusi... Niby przez większą część życia Rusek, a jednak Ukrainiec. Podolak jest doradcą w kancelarii prezydenta Ukrainy. Znaczącym. Wcześniej miał firmę konsultingową zajmującą się „zarządzaniem reputacją” i „zarządzaniem konfliktami”. Chłopak wie, co robi! Idzie w zaparte... Świat bez Ukrainy zginie, zginie! Widzieliśmy niejedno pójście w zaparte, które skończyło się rozwodem, jednak jeszcze żadnego, które skończyło się wojną. Możliwe, że wszystko przede mną i – proszę wybaczyć – przed Państwem. Chociaż może już nie. Może tylko kaput...

„Gazeta Wyborcza” dopiero co puściła wywiad z Podolakiem zatytułowany „Placie dziś w euro czy jutro krwią?” (rozmawiała Wiktoria Bielaszyn). Sorry, ale sam tytuł jest mocno żalony („GW” zmieniła po kilku dniach na „Doradca Zeleńskiego: Rozpatrujemy różne scenariusze, także te najbardziej pesymistyczne” – red.). Podolak, niewątpliwie eminencja mocno szara, serwuje nam szantaż emocjonalny. Szara? Raczej brunatno-gówniana z tym napieprzaniem: „Na Zachodzie zniknął strach. Wydaje się, że Ukraina powstrzyma Rosję. A kiedy strach znika, ludzie tracą zdolność współodczuwania”. Widzicie w tej wypowiedzi jakąś logikę? Bo ja nie. Z wyjątkiem logiki naciągactwa. Europa ma wojny na Ukrainie po kokardę, a Ukraińcy mają po kokardę swojego prezydenta z kompanią doradców. Sęk w tym, że z przemocowego związku przeciętnego Ukraińca z kliką Zeleńskiego trudno się wypłatać...

Podolak nawija: „Zdarza się, że mówię komuś: potrzebujemy amunicji, nie dajemy rady. A w odpowiedzi słyszę, że mamy poczekać dwa tygodnie. W takich momentach czuję, że ścisła mi się szczeka, bo po raz kolejny muszę tłumaczyć, że to oznacza, że przez te dwa tygodnie nasi ludzie będą znajdować się pod ostrzałem bez możliwości odparcia ataku”. Panu Podolakowi ścisła się szczeka, a powinna ścisnąć się dupa. Szczególnie odbył.

Gdyby nie on i jemu podobni, Rosjanie z Ukraińcami dawno by się już dogadali przy wódce i śledziu.

Rzygać się chce od wachania biegunki Podolaka i Zeleńskiego, kiedy montują tę nikomu niepotrzebną wojnę. Montują? Odajmy głos Mychajle: „Wiele wysiłku wymaga jak najdokładniejsze przekazanie emocji, którymi żyjemy od blisko dwóch lat, przy

jednoczesnym odwołaniu się do racjonalnych argumentów i praw. Człowiek, który znajduje się tysiące kilometrów od wojny, nigdy jej nie poczuje”. Zawsze wydawało nam się, że od przekazywania emocji to są poeci i że nie ma większych poetów od tych rosyjsko-ukraińsko-białoruskich... Ba, wydawało nam się, że bycie poetą nie szkodzi racjonalnym osądom bardziej niż bycie piekarzem, a może i nawet pomaga. Wiadomo: poeta tylko rżnie, myśli, pierdzi w stołek i wiersze pisze.

W czytaniu ostatnio przez nas Limonow („To ja, Ediczka”, przeł. Jerzy Czech, Świat Książki, 2005) znajdujemy taki fragment: „Okej! Niech będzie niepodległość. Ale czy ukraińskiemu Limonowowi będzie łatwiej w państwie ukraińskim? Ja – pisarz rosyjski – żyłem w państwie rosyjskim, a co mówiłem? Przez dziesięć lat ani jednego opublikowanego utworu! Nie chodzi o to, żeby wywalczyć niepodległość dla każdej narodowości, tylko o to, jak przebudować postawy ludzkiego życia, żeby przynajmniej uwolnić świat od wojen, od nierówności majątkowej, od powszechnego zabijania się pracą, żeby nauczyć go miłości, a nie zła i nienawiści, do czego nieuchronnie prowadzi podziały narodowe”.

Eduard Limonow (a właściwie Sawienko), awangardowy poeta z Rosji, który z niej prysnął, aby wrócić, Rusek, a tak naprawdę Ukrainiec, miał wklepane przez Putina 14 lat łagru, ale wyszedł po dwóch. Pytanie: co urwać chciałoby mu takie Podolaki? Bo Putin poskrobał go kozikiem po jajach i odpuścił, a Limonow dogadywał się nawet z worami... Inną rzeczą jest jeszcze, że założył Partię Narodowo-Bolszewicką. A starał się stworzyć Naród ponad Wszystkimi Narodami, coś, co miało okazać się antynarodem, bo nie Rosją, a tym bardziej nie Ukrainą. „Powtarzam jeszcze raz wszystko, wszystko, co już widziałem w tym życiu: wieczne niedojadanie, wódę, obrzydliwe kłitki. Dlaczego facet sprzedający wódkę, właściciel sklepu Liquors, cieszy się uznaniem społeczeństwa, i to jeszcze jakim, a ktoś, kto pisze wiersze, obszedł kulę ziemską dookoła nic w końcu nie dostaje, do niczego nie dochodzi? Mało tego, zabierają mu ostatnią rzecz, którą go trzyma przy życiu – miłość”. Taaa, mówiliśmy, że Limonow to poeta.

Podolak powinien go więcej czytać, szczególnie z tego okresu, kiedy Limonow zafascynował się – niestety, niestety – wojną na Bałkanach. I niestety, choć bardzo obrażamy tym Ediczkę Limonową, i jeden, i drugi Ediczka oraz Mychajło mieli podobne parcie na szkło...

Podolak prze w najlepsze. Gówno strzela na ekran, hajs na konta, a poeci – jeszcze żyjący poeci – giną. Jak dochodzący wieku chrystusowego Maksym Krywców. Jebnęło w styczniu w ukraiński okop, gdzie głupi, słodki poetycki i naiwny Krywców i mądry kot Krywcowa (zarcie, puszkii, woda, ciepło, drapanie za uchem), rudy Darwin. Poeta kaput i kot kaput. Kot miał takie piękne zielone oczy i rude futerko, a poeta cholernie dobrze pisał, choć w kamasze poszedł

już jako szczenię. Wojaczka go wkręciła już niemal w 2014 r. Przez sranie Podolaka Ukraina straciła kogoś, kto krytykował pierdolca, znaczy wojennego kota.

Ciekawi jesteście, czy Kijów będzie z Krywcowa robił bohatera, czy w końcu pokapuje się, że chłopak pisał już poezję antywojenną, która Zeleńskiemu z kamratami powinna się śnić po nocach i przyprawiać ich o szraczkę o północy.

„(...) moje kości
wciągnie ziemia
i utworzą szkielet
mój przestrzelony automat
zardzewieje
biedaczek
moje rzeczy na zmianę i sprzęt
przekazą nowym rekrutom
żeby już szybciej była wiosna
żeby wreszcie
zakwitnąć
fiołkami”

– napisał Krywców 5 stycznia 2024 r. w swoim ostatnim wierszu. A wcześniej notował:

„Zamówiłem kebab
z kielbaskami myśliwskimi
chłopak
u którego go zamówiłem
opowiedział
że jest z Syrii
że przyjechał do nas
ukryć się przed wojną
ale ona dobrze szuka w chowanego.”

Zabrałem kebab i podziękowałem
chłopak patrzył na mnie
spokojnie i cicho
tak
jak się patrzy na poranną mgłę
czy przez okno pociągu.

Przed wojną nie da się uciec
pomyślałem
i Usain Bolt nie ucieknie
i gepard nie ucieknie
i samochód sportowy
i poseł którego złapano na korupcji.

Poza tym wojna to nie sen
nie życie
tylko to co było przed życiem
nie mgła i nie kwiaty.

Poza tym
wojna to nie tort
dla wszystkich jej wystarczy
pomyślałem”.

(oba wiersze tłum. Aneta Kamińska)

Darwin, kot Darwin – cześć Jego pamięci! Oto prawdziwa bezbronna ofiara wojny! To już nie ani Podolak, ani poeci, to my...

WIKI WIERCIOCH

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze wydał dwa istotne wyroki. Po pierwsze orzekł, że Rosja nie wspierała odpowiedzialnych za zestrzelenie malezyjskiego Boeinga w 2014 r. Po drugie stwierdził, że na Krymie nie dochodzi do dyskryminacji na tle narodowościowym i etnicznym. MTS odrzucił także ukraiński wniosek o reparacje ze strony Rosji. To nie pierwsza porażka Ukraińców w temacie reparacji – w 2015 r. Rada Najwyższa Ukrainy zwróciła się z oficjalnym pismem do Wielkiego Churału Państwowego (parlamentu Mongolii) z wnioskiem o odszkodowanie za ludobójstwo narodu ukraińskiego zorganizowane w XIII w. przez wojska Batu-chana, wnuka Czyngis-chana i założyciela Złotej Ordy. W Ulan Bator sprawę potraktowano poważnie i poinformowano, że jeśli strona ukraińska przedstawi imienną listę ofiar, Mongolia gotowa jest wypłacić ich rodzinom odszkodowania. Ukraina, o dziwo, do dziś listy nie przedstawiła.

★ „Wołodymyr Zeleński chce zresetować państwo” – donosi „Rzeczpospolita”. „Jeszcze w tym tygodniu naczelny dowódca armii ukraińskiej gen. Walerij Żalużny może stracić stanowisko. Wraz z nim zwolniony może zostać szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych gen. Serhij Szaptala. Niepewny jest też los innych dowódców armii. (...) W Kijowie krąży też opinia, że zwalniając większą grupę ludzi, Zeleński chce zasłonić dymisję Żalużnego, zminimalizować ryzyko. Wszystko dlatego, że od dłuższego czasu prowadzi w sondażach i cieszy się większym od prezydenta zaufaniem rodaków. Co więcej, z grudniowych sondaży kijowskiego ośrodka KMIS wynikało, że aż 72 proc. Ukraińców negatywnie oceniało możliwą dymisję dowódcy armii. Ale to nie powstrzyma prezydenta Ukrainy”. Tymczasem Ukraińcy coraz częściej pytają: „Czy leci z nami pilot?”.

★ Andrzej Duda w głośnym wywiadzie dla Kanalu Zero przyznał: „Krym jest miejscem szczególnym, również ze względów historycznych. Ponieważ w istocie, jeśli popatrzymy historycznie, to przez większość czasu był w gestii Rosji”. Prezydent dodał, iż nie wie, czy Ukrainie uda się odbić półwysp. Jak mówi przysłowie: „Nawet zepsuty zegarek dwa razy na dobę wskazuje dobrą godzinę”.

★ Wypowiedź Dudy, choć racjonalna, wywołała burzę w internecie. Swoją refleksją na portalu X podzielił się m.in. poseł PO Michał Szczerba: „Mam nadzieję, że w Tanzanii niczego nie palnie, bo będzie wstyd na całą dżunglę”. Poseł chciał być zabawny, a wyszedł na rasię i geograficznego ignoranta, bowiem Tanzania nie jest porośnięta dżunglą, lecz sawanną.

★ Dziennikarz RMF FM Robert Mazurek podczas rozmowy z wiceministrem obrony narodowej Pawłem Zalewskim zadał zasadne pytanie: „Czy nacisk amerykański spowoduje, że rządząca koalicja, która jest bardzo niechętna CPK, jednak zdecyduje się tworzyć CPK z całą siecią infrastruktury?”. Minister odparł: „Panie redaktorze, czasy rządzenia obcych państw w Polsce się dawno skończyły”. Mazurek wybuchnął śmiechem i po chwili dodał: „Tutaj zróbmy przerwę, żeby się słuchacze też mogli wyśmiać”.

★ „New York Times” poinformował, że telewizja HBO wyrzuciła znanego serbskiego aktora Miloša Bikovića z serialu „Biały Lotos” po proteście ukraińskiego MSZ. Niegdyś cenzurą zajmował się Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, dziś jego miejsce zajęło Ministerstwo Spraw Zagranicznych Ukrainy.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com



Jak na świecie obchodzą Dzień Zakochanych.

Dla wszystkich smucących się faktem, iż wieczór 14 lutego przesiedzą samotnie w domu bez czerwonych róż i analogicznych serduszek, mam niejakie pocieszenie: może dzięki temu uda Wam się dożyć 15 lutego. Nie wszystkie walentynkowe randki kończą się dobrze.

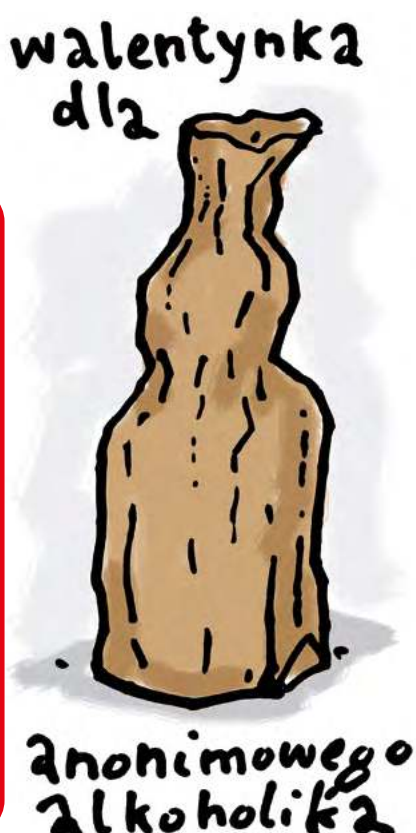
Garść przykładów tylko z XXI wieku – to teraz morderstwa w walentynki stały się wybitnie popularne.

14 lutego 2000 r. koło pierwszej w nocy Nicholas Kunselman i Stephanie Hart-Grizzell zostali znalezieni w Subwayu (to taka jadłodajnia z plastikowymi kanapkami), w którym Nicholas dorabiał po lekcjach. Nicholas miał 15 lat, jego dziewczyna Stephanie – 16. Obydwoje byli uczniami pobliskiego liceum Colombine w Littleton w stanie Kolorado – to o tyle ważne, że w tym właśnie liceum niespełna rok wcześniej, 20 kwietnia 1999 r., doszło do słynnej strzelaniny, która rozpoczęła ciąg masowych zabójstw szkolnych, będących dziś amerykańską specjalnością. Kto i dlaczego zastrzelił Stephanie i Nicholasa, nie wiadomo do dziś. W 21. rocznicę nagroda za wskazanie zabójcy została podniesiona do 100 tys. dolarów, ale chętnych nadal brak.



14 lutego 2007 r. rodzice Jodine Serrin z Carlsbad w Kalifornii, wracając z walentynkowej kolacji, wpadli do córki z niezapowiedzianą wizytą. Jodi miała wprawdzie już 39 lat, ale ze względu na intelektualną niepełnosprawność pozostawała pod ich dość czujną opieką. Tym razem mamusia z tatusem zastali ją w sytuacji intymnej z nieznanym mężczyzną. W sypialni było ciemno, ale zajęcie, któremu oddawała się para, nie pozostawiało wątpliwości. Skrupowani, wycofali się do innego pokoju i czekali, aż para się wyłoni – to się jednak nie stało. Po jakimś czasie zebrałi się na odwagę i wrócili do sypialni, gdzie odkryli zimne zwłoki, co wskazywało, że nieznajomy, który uciekł przez okno, gwałcił trupa. Sprawcę wykryto dopiero w 2018 r. dzięki dwóm nowym technologiom: fenotypowaniu i genealogii kryminalistycznej, które pozwoliły ustalić posiadacza DNA wykrytego na miejscu zbrodni. Okazał się nim niejaki David Mabrito, który skądinąd popełnił samobójstwo mniej więcej w czwartą rocznicę morderstwa Judi.

14 lutego 2010 r. wieczorem Stacey Schoeck umówiła się ze swoim mężem Richardem w odludnym parku Belton Bridge w Georgii, gdzie mieli wymienić walentynkowe kartki w romantycznej atmosferze. Zamiast Stacey zjawił się niejaki Reginald Coleman, instruktor z siłowni, reklamujący się jako „Mr. Results”, co można luźno przetłumaczyć na „Pan Efekt”. „Pan Efekt”, jak wykazało śledztwo, wziął od pani Schoeck 10 tys. dolarów za zastrzelenie jej piątego męża, który skądinąd adoptował trójkę jej dzieci z poprzednich czterech małżeństw. Razem działali w skautingu, organizowali obozy letnie, słowem: sielanka. Richard fascynował się baloniarstwem i na kilka dni przed aresztowaniem nieutulona w żalu żona w romantycznym geście rozrzuciła jego prochy z balonu. W sądzie przyznała się do zabójstwa i dostała dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego. Nawiasem mówiąc, Richard miał polisę na życie opiewającą na pół miliona dolarów, ale jego małżonka nie zdążyła jej spieniężyć przed aresztowaniem.



14 lutego 2001 r. John Hamilton, ceniony ginekolog z Oklahoma City, wyskoczył na chwilę z gabinetu, żeby wpaść do domu i wymienić z ukochaną żoną Susan kartki walentynkowe. Odkrył ją w kałuży krwi na podłodze łazienki. Wokół szyi miała zacisnięte dwa jego krawaty, a czaszkę zgruchotaną do tego stopnia, że gdzieś niedaleko przewitywał mózg. Początkowo policja podejrzewała antyaborcyjną organizację Armia Boga, ale zby-

14 lutego 2009 r. Tiana Notice z Plainville w Connecticut nie planowała randki, albowiem miała cokolwiek dosyć mężczyzn. Jej ostatni bowiem facet, poznany przez internet James Carter II, przedstawiający się jako menedżer w towarzystwie ubezpieczeniowym, okazał się cokolwiek przemocowym świrem, z wyrokiem pięciu miesięcy za znęcanie się nad poprzednią partnerką. Tiana zerwała z Jamesem i nawet uzyskała w sądzie zakaz zbliżania, ale policja nieszczególnie się tym przejęła mimo esemesów z gatunku: „Bóg mi świadkiem, twoja kara się zbliża”. Tiana prosiła policjantów o pomoc 33 razy w ciągu sześciu tygodni pomiędzy rozstaniem z Carterem i walentynkami, kiedy to były chłopak zaczął się pod jej drzwiami z nożem i dźgnął ją 20 razy. Tiana zdążyła wykonać telefon na 911: „Wyrkrywam się na śmierć. Mój były chłopak właśnie zadłgał mnie na śmierć” – powiedziała, po czym udowodniła swoją prawdziwość, umierając.

14 lutego 2013 r. w Pretorii w RPA Oscar Pistorius – słynny beznogi biegacz, gwiazda południowoafrykańskiej lekkoatletyki – zastrzelił przez drzwi od kibla swoją dziewczynę, modelkę Reeve Steenkamp. Pistorius twierdził, że wziął ją za włamywacza i spanikował, albowiem nie miał założonych protez i czuł się niepewnie. Prokuratura twierdziła, że się pokłócili i Pistorius zabił ze złości. Kolejne instancje sądu nie dały wiary wyjaśnieniom Oscara – ostatecznie został skazany na 13 lat za morderstwo. Wyszedł warunkowo 5 stycznia 2024 r., mieszka w domu wuja i będzie pod kontrolą policji przez kolejne pięć lat. W tym czasie ma zakaz spożywania alkoholu, co dowodzi, że zbrodnia nie popłaca.

14 lutego 2020 r. studentka Uniwersytetu Stanowego Fort Valley w Georgii Anitra Gunn nie wróciła do domu. Rodzice zgłosili jej zaginięcie następnego dnia, kiedy nie mogli się do niej dodzwonić, co było nietypowe. Policja aresztowała jej byłego chłopaka, sierżanta Demarcusa Little’a. Na procesie prokurator czytał obszerne fragmenty korespondencji esemesowej, w której Demarcus groził Anitrze samobójstwem. Anitra przejęła się szczerze, po czym zadzwoniła z pytaniem, czy wszystko w porządku, na co Demarcus enigmatycznie informował, że jest w szpitalu, bo „się nie udało”. Kilka tygodni później dziewczyna zaginęła. Jej zwłoki znaleziono 18 lutego na poboczu prowincjonalnej drogi. Demarcus udusił ją gołymi rękami w same walentynki – ponoć dlatego, że „otworzył przed nią serce, a ona go wyśmiała”.

14 lutego 2011 r. w Riviera Beach na Florydzie Tomicka Peterson powiedziała swojemu facetowi Paulowi Gibsonowi, że od niego odchodzi, po czym – żeby uniknąć dłuższej awantury – wyszła z domu. Podjechała po nią para przyjaciół z trzyletnim dzieckiem. Paul uznał, że przerwanie takiej poważnej konwersacji w połowie jest nieuprzejme, wyszedł za Tomicką, która właśnie wsiadła do samochodu, i otworzył ogień z broni półautomatycznej. Musiał nieźle strzelać, bo trafił Tomickę pięć razy, zabijając ją na miejscu, a reszcie pasażerów w zasadzie nic się nie stało. Następnie Gibson przebiegle spieprzył do Tennessee, 1000 km na północ, ale nie wyłączył telefonu, więc policja znalazła go bez specjalnego trudu.

Przeżyć walentynki

strzała, kiedy przeczytała kartkę, jaką wręczyła mu żona: „Kupiłam tę kartkę dwa tygodnie temu, więc chyba już jest nie na miejscu. Ale jednak cię kocham. Miłego dnia”. Śledztwo wykazało, że doktor kilkadziesiąt razy dzwonił do striptizerki, która była jego pacjentką, co skłoniło żonę do myśli, że mogą mieć romans. Postanowiła go rzucić, niepomna faktu, że dał jej porsche w prezencie ślubnym. Tej zniewagi doktor nie zniósł.



W nocy z 13 na 14 lutego 2005 r. Paul Dyson z Hull w East Riding of Yorkshire w Anglii pokłócił się ze swoją dziewczyną Joanne Nelson o pranie. Dokładnie: Joanne pokłóciła się z Paulem, zarzucając mu, że jest do niczego, nie potrafi nawet włączyć pralki. Paul, dotknięty do żywego, udusił babę gołymi rękami, w czym pomógł mu fakt, że był siłowniowym pakerem na sterydach. Po czym udał się do pobliskiego sklepu, kupił worki na śmieci, gumowe rękawice, starannie zapakował zwłoki, wrzucił je do bagażnika i wywiozł 100 km dalej, do lasu w okolicach Hovingham w północnym Yorkshire, gdzie zostały odnalezione 40 dni później. Do tego czasu Dyson wystąpił w telewizji i ze łzami w oczach mówił, że „kocham Joanne do szaleństwa” i „chcę tylko, żeby wróciła”. Nieopatrznie jednak zwierzył się z zabójstwa przyjacielowi, który postanowił oczyścić swoje sumienie, informując o tym matkę Dysona.

14 lutego 2013 r. w Peorii w stanie Illinois pastor baptystów Nathan Leuthold zadzwonił pod numer alarmowy z informacją, iż wrócił do domu i znalazł ślady włamania. Po przybyciu policja odkryła zwłoki jego żony Denise, matki trójki jego dzieci, z kulą w głowie. Początkowa wersja o włamaniu nieco się zachwiała, kiedy w historii wyszukiwarki pastora policja znalazła pytania: „jak uderzyć kogoś w głowę, żeby stracił przytomność” i „jak zrobić tłumik do pistoletu”. W śledztwie okazało się, że pastor nawiązał nader bliską relację z 20-letnią Litwiną Ainą Dobilaitę, którą para poznała, kiedy Nathan pełnił misję na Litwie. Leutholdowie zabrali dziewczynę ze sobą do Stanów i załatwili jej stypendium w chrześcijańskim koledżu w Chicago. Znajomy pastora zeznał na procesie, że zabójstwo żony było walentynkowym prezentem dla młodej przyjaciółki, która na informację o włamaniu zareagowała esemesem o treści: „Interesujące”, ozdobionym uśmiechniętą buźką.



Polska prawica międzywojenna.

Bezskutecznie szukając führera

Jeśli poczytać teksty polskich prawaków i rosnących w siłę zwłaszcza w latach 30. XX w. skrajnych prawaków, to uderzające (dodajmy: niepokojąco uderzające!) jest ich bezsprzeczne pokrewieństwo z tym, co mówią dzisiaj konfederaci i niektórzy pisowcy, że o jawnie faszystującym planktonie nie wspomnę. Tak jak dzisiaj Polska wschodnia, zwłaszcza Podkarpacie, jest siedliskiem mętnych brunatnych idei, tak sto lat temu było z Kresami.

Jeśli uważacie, że przesadzam, poczytajcie uwagi Przemysława Dąbrowskiego, piszącego w tekście naukowym wprost, że działalność wileńskiego oddziału Stronnictwa Faszystów Polskich (sic!) „ogniskowała się wokół następujących haseł: a) ugruntowania i rozwinięcia życia społecznego i politycznego na zasadach wiary oraz moralności chrześcijańskiej; b) rozwoju kultury narodowej; c) łagodzenia antagonizmów występujących pomiędzy pracownikami a pracodawcami; d) powołania do życia rządu opartego na »karnych szeregach społeczeństwa«”.

Myszę, że wileńscy przedwojenni faszyci mogliby za pewnym prezesem powtórzyć, że w Polsce poza Kościołem jest tylko nihilizm, a rozwój tzw. kultury narodowej (tak naprawdę zaprzeczenia kultury w ogóle, ale to inna rzecz) wdrażał PiS przy pomocy łopaty biednym dzieciakom do głowy, skądinąd z dość mizernym skutkiem. Tzw. dobra zmiana stanowiła próbę połączenia ognia z wodą, pewnej troski o polskiego pracownika (np. podwyższanie pensji minimalnej) ze wzmacnianiem państwowej własności w gospodarce i faworyzowaniem Solidarności jako gwaranta spokoju społecznego. Karne szeregi społeczeństwa wpatrzono z uwielbieniem w rządzących jak sroka w kość to mokry sen prawej strony sceny politycznej.

Kochając duce

Kaczyński białł nad nieszczęsnym polskim imposybilizmem, tą wieczną bylejąkością i nie-
możnością wykonania zdecydowanych ruchów

przez władzę, lecz te jego słowa wyglądają jak cytat jeden do jednego z publicystyki endecji czy nacjonalistycznych radykałów dwudziestolecia międzywojennego. Z tego względu, przynajmniej na początku, z wielkim entuzjazmem odnosili się oni do włoskiego faszyzmu, widząc w duce kogoś, kto pokazał lewakom ich miejsce i bronił narodu przed bezbożnym liberalizmem i bolszewizmem.

Narodowców ujęły zwłaszcza miłe dla ich autorytarnych ciągów słowa Benita Mussoliniego: „Walka jest początkiem wszechrzeczy, ponieważ życie całe jest pełne sprzeczności, jest w nim miłość i nienawiść, biel i czerń, dzień i noc, dobro i zło. A zresztą dobrze jest, że jest tak właśnie. Dziś może toczyć się walka wojenna, ekonomiczna, ideowa, ale dzień, w którym by się już nie walczyło, byłby dniem melancholii, kresu i ruiny”.

Jak podkreśla Łukasz Bojko w tekście naukowym „Narodowa Demokracja Romana Dmowskiego wobec faszyzmu włoskiego”: „To, co fascynowało Dmowskiego we włoskim faszyzmie, to przede wszystkim jego organizacyjna sprawność. Twórca endecji postrzegał faszyzm jako określony formę zorganizowanego nacjonalizmu. Dmowski był pod autentycznym wrażeniem partii faszystowskiej jako ugrupowania karnego, hierarchicznego i zdyscyplinowanego. Samych zaś faszystów oceniał jako ludzi bezkompromisowych, odważnych i oddanych idei. Jego zdaniem we Włoszech narodziła się elita umysłowa i moral-

na zupełnie oddana sprawom państwa i narodu, gotowa do poświęceń dla ich dobra”.

Dmowski, salonowiec i ideolog, guru, lecz nie polityk wiecowy, zrezygnowany wzdychał,



że „chętnie by się zgodził na dyktaturę”, „gdybyśmy mieli człowieka posiadającego wartość choć połowy Mussoliniego”. I snuł następującą wizję: „Gdybyśmy byli podobni do dzisiejszych Włochów, gdybyśmy mieli taką organizację jak faszyzm, gdybyśmy mieli wreszcie Mussoliniego, największego niewątpliwie człowieka w dzisiejszej Europie, niczego więcej nie byłoby nam trzeba”. Co prawda dzisiaj wizja ta może zmrozić krew w żyłach, ale przed wiekiem ową krew rozpałała, przynajmniej wśród narodowców.

Zabawne – i jakże polskie! – było wzdraganie się Dmowskiego przed dążeniami młodych narodowców do obsadzenia go w roli wodza, prowadzącego ich pod sztandarem konserwatywnej rewolucji.

Klerofaszyzm

Relacje między fundamentalistycznym katolicyzmem a faszyzmem także w Polsce – zwłaszcza międzywojennej – są nader złożone, ale nie sposób zaprzeczyć, że często im było po drodze. Jak wiadomo,

nic tak nie jednoczy jak wspólny wróg, czyli lewicowość, liberalizm, swoboda obyczajowa i ateizm. Stosunek wielu duchownych wobec idei skrajnego nacjonalizmu był nader pozytywny.

Wystarczy wspomnieć o broszurce proboszcza z Nałęczowa ks. Zdzisława Łuczyckiego, zatytułowanej „Jak ja sobie wyobrażam faszyzm polski”. Wizja tego klechy spod Lublina, powtórzmy za Bogumiłem Grottem, sprowadza się „do poglądów konserwatywnych właściwych dla kręgów narodowo-katolickich w ówczesnej Polsce, które negowały wszelką lewicowość oraz liberalizm. Przez pojęcie faszyzmu rozumiały one silną władzę zdolną zapobiec destabilizacji grożącej ze strony zmieniających się często rządów i skutecznie sprzeciwiać się wszelkim nadużyciom w państwie oraz prowadzić politykę prokatolicką w duchu tradycjonalistycznym”.

Coś nam się wydaje, że taki Jacek Międlar, były ksiądz, obecnie wyznawca religii narodowej, czułby się w międzywojniu jak ryba w wodzie...

Z.J.

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ **Kościół jednoznacznie stwierdza**, że aborcja była, jest i pozostanie czynem wewnętrznie złym. To znaczy takim, którego nigdy w żaden sposób nie da się usprawiedliwić jakimikolwiek racjami zewnętrznymi, uwarunkowaniami, okolicznościami. **Nie da się usprawiedliwić aborcji ani względami eugenicznymi, ani zagrożeniem życia czy zdrowia matki, ani stanem psychicznym kobiety przeżywającej traumatycznie ciążę, ani względami społecznymi, demograficznymi, ekonomicznymi.** Aborcji po prostu nie da się usprawiedliwić.

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, TV Trwam, 3 lutego

■ Każda forma antykoncepcji hormonalnej jest przez Kościół zakazana, niezależnie od tego, jaki jest mechanizm działania konkretnego środka. (...) Duży odsetek kobiet nie orientuje się w przebiegu własnego cyklu miesięczkowego, wiele z nich ma nieregularne miesiączki i **trudno by było u nich określić fazę cyklu miesięczkowego w momencie gwałtu.** Gwałt, brutalna przemoc wobec kobiety, może zresztą przebiegać przez cały cykl zakłócić. **W praktyce będzie trudno określić, jaki w konkretnym przypadku będzie mechanizm pigułki „dzień po”, by poinformować o tym ofiarę gwałtu.**

prof. Bogdan Chazan, „Nasz Dziennik”, 2 lutego

■ Lewica podejmuje kolejną próbę **wyrzucenia konserwatystów i chrześcijan** poza nawias debaty publicznej. Dążą do zmiany kodeksu karnego, by pod płaszczykiem walki z „mową nienawiści” cenzurować osoby i instytucje sprzeciwiające się ideologii **radikalnych środowisk LGBT.** (...) Widzimy, do czego doprowadziło wpro-

wadzenie podobnych przepisów w krajach Zachodu. (...) **Wielki Brat skanuje te społeczeństwa** swoją tęczą żrenicą, a karą za „myślbrodnię” jest eliminacja z życia publicznego.

Centrum Życia i Rodziny, Facebook, 29 stycznia

■ W ostatnich kilku tygodniach toczy się **batalia o polską rodzinę**, o małżeństwo i o przyszłość polskich dzieci. Ta **rewolucja ideologiczna**, o której wielokrotnie mówiliśmy na antenie TV Trwam czy Radia Maryja, faktycznie przyspieszyła, ale to dlatego, że zwyczajnie znalazła swoich sojuszników w polskim parlamencie i w polskim rządzie. Ta rewolucja zmierza – mam takie wrażenie – do upadku moralności. **Silą i przemocą chce się zniszczyć polską moralność, moralność katolików**, naszego społeczeństwa, zaprzęścić wiele ostatnich dziesięcioleci, także osiem lat, które były w miarę bezpieczne pod względem ideologicznym dla polskich dzieci.

Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny, TV Trwam, 1 lutego

■ Negacja prawa naturalnego i wolności sumienia to **idee nazistowskie i komunistyczne.** Ich skutkiem była zagłada wielu milionów ludzi. Obecnie idee te wysypują się w **postaci dyktatury relatywizmu.**

ks. Janusz Chyła, platforma X, 1 lutego

■ Wpisując się w **model niebiernego i wielowarstwowego pojęcia płci**, proszę się do mnie zwracać zaimkiem „proszę księdza”.

ks. Daniel Wachowiak, platforma X, 29 stycznia

■ Pamiętajcie, że nowa Polska nie może być Polską bez dzieci Bożych! **Polską nieplodnych lub mordujących nowe życie matek!** Polską pijaków! Polską ludzi niewiary, bez miłości Bożej!

abp Marek Jędraszewski, platforma X, 2 lutego

KLECHA



Mądrej głowie...

Opinie o Edwardzie Gierku.

Niedawno w „Gazecie Wyborczej” (nr 16, 20–21 stycznia 2024) ukazała się (polecana przez Adama Michnika) recenzja Zbigniewa Mentzla książki Marcina Zaremby „Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności”, poświęconej dekadzie rządów Edwarda Gierka. W podtytułe przytoczono z książki oburzącą i obelżywą opinię o Gierku: „Nieuk, półanalfabeta wyniesiony został przez rządzącą partię na najwyższe stanowisko...”. Taką opinię mogła podyktować jedynie bezmyślna nienawiść do Polski Ludowej, skojarzona z równie bezmyślnym zafascynowaniem Solidarnością, prawym rodzicem dzisiejszego PiS Jarosława Kaczyńskiego. Na szczegółową analizę przyjdzie czas po dokładnym przestudiowaniu książki. Tutaj jedna tylko uwaga faktograficzna i trzy opinie współczesne Gierkowi.

Uwaga: wykształcenie Gierka – solidna polniemiecka siedmioklasowa śląska podstawówka oraz roczna Wyższa Szkoła Partyjna PZPR, w tym okresie raczej na przyzwoitym poziomie (pomijam wątpliwej jakości studia zaoczne w krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej) – w niczym nie ustępowało wykształceniu Wincentego Witosa (cztery klasy szkoły powszechnej), Władysława Gomułki (sześć klas) czy Lecha Wałęsy. Ponadto we Francji i Belgii w trybie samouctwa Gierek opanował płynnie w mowie i piśmie język francuski, władał też średnio niemieckim i rosyjskim.

A teraz opinie. Pierwsza – bardzo wybitnego Polaka. W sierpniu 1980 r., już w czasie strajków na Wybrzeżu, trzy tygodnie przed upadkiem Gierka, Stanisław Kania negocjował z prymasem Stefanem Wyszyńskim jego spotkanie

z Gierkiem, o które ten ostatni zabiegał. Prymas oświadczył: „Tak, spotkam się z panem Gierkiem. Jemu ode mnie ta pociecha się należy”.

Druga opinia – dwu wybitnych europejskich mężów stanu. Opowiadał mi Wojciech Jaruzelski, że w rozmowach z nim prezydent Francji François Mitterrand i kanclerz Niemiec Helmut Schmidt wykazywali żywe i przychylnie zainteresowanie losom Gierka i nie kryli negatywnej oceny jego internowania w stanie wojennym.

Opinia trzecia, najbardziej może fascynująca. W 1990 r., czyli rok po upadku Polski Ludowej, ukazało się książkowe wydanie wywiadu rzeki Janusza Rolickiego z Gierkiem. Raczej hagiograficzne, broniące gierkowskiej polityki. Książka ta, dodrukowywana parę razy, w ciągu kilku miesięcy rozeszła się w nakładzie 1 mln egzemplarzy. Był to największy w dziejach Polski nakład książki politycznej. Nie polecała jej oczywiście ówczesna władza, raczej odwrotnie.

Polacy kupili ją z własnej woli i rozoznania, za własne pieniądze, a przecież to pokolenie świetnie pamiętało z osobistego doświadczenia dekadę Gierka,

festiwal Solidarności, wojskową dyktaturę Jaruzelskiego, przed oczyma zaś miało początki III RP. I porównywało! *Sapienti sat!*

ANDRZEJ WERBLAN

Mistrzowie pióra i mikrofonu

Dawno nie było o dziennikarzach sportowych. Nadrabiamy zaległości.

Od pewnego czasu ze względu na zdrowie nie mogę chodzić na imprezy sportowe. Klub Dziennikarzy Sportowych zawsze przysyła mi jednak pocztą legitymację uprawniającą do wstępu na trybunę prasową. To bardzo miłe. Dziękuję, Jurku. Wyjaśnię, że red. Jerzy Jakobsche wciąż z oddaniem walczy, żeby dorobek zasłużonego klubu nie został zaprzepaszczonej.

Brazowe gimnastyczki

Za czasów mojej aktywności zawodowej bardzo chwaliłem sobie członkostwo w KDS. Klub był – i mam nadzieję, że wciąż jest – prężną organizacją łączącą ludzi pracujących w zawodzie. I tych piszących, i tych opowiadających o sporcie przed mikrofonem w radiu i telewizji. Miał także silną pozycję w międzynarodowej organizacji dziennikarskiej, a dzięki tej drugiej legitymacji miałem ułatwioną pracę podczas zagranicznych wyjazdów. Najlepsze dokonania na dziennikarskim polu nagradzano Złotym Piórem, były oczywiście także pióra srebrne oraz brązowe. W branży wysoko cenił się wyróżnienie i trwała o nie rywalizacja niczym na mecie stumetrówki na lekkoatletycznym stadionie.

Od razu powiem, że nie bardzo mam się czym chwalić. Podczas całej mojej pracy tylko raz (naprawdę nie pamiętam, w którym roku) wyróżnił mnie Brązowym Piórem za reportaż o trzech gimnastyczkach akrobatycznych z Olsztyna. W ręce wpadło mi zrobione kilka lat wcześniej zdjęcie trójki dziewczynek z podpisem, że są dużą nadzieją tej dyscypliny sportu. Pojechałem do miasta nad Łyną sprawdzić, co się z nimi dzieje po latach. Jasne było, że karierę sportową mają już za sobą.

Fakt, że zadanie nie było łatwe. Musiałem poszukać osób, które coś wiedzą na ich temat, a przecież internetu jeszcze nie było i nie istniała możliwość wygooglowania kogokolwiek. Okazało się, że jedna z akrobatek była prymuską w szkole, zdała na studia, gdzie też wyróżniała się w studenckim gronie. Jej koleżanka – przeciwnie. Jak to się wówczas mówiło: zesłała na złą drogę; szemrane towarzystwo, kłopoty z prawem, edukacja zakończona na poziomie podstawówki. Na ślad trzeciej ich koleżanki nie udało mi się trafić, choć pytałem o nią wiele osób i przedłużyłem nawet o jeden dzień delegację. Wyjechała z miasta gdzieś w nieznane. Opisanie tego wszystkiego nie było żadną sztuką. Po prostu musiał wyjść z tego zgrabny reportaż z zilustrowany archiwalną fotografią trzech młodzieżek zawodniczek. Ponieważ artykuł nagrodzono Brązowym Piórem, wydaje mi się, że to bardziej trzy panny zasłużyły na wyróżnienie niż ja.

Atmosfera zamiast faktów

Oczywiście mieliśmy swoje gwiazdy. Pierwszym laureatem Złotego Pióra był podziwiany do dziś Bohdan Tomaszewski, który przed mikrofonem radiowym odtwarzał niepowtarzalną atmosferę stadionów. Ten znakomity dziennikarz właśnie na tę atmosferę zwracał większą uwagę niż na fakty, dlatego czasem zdarzały mu się rażące pomyłki. Wytykano mu je bez litości, ale nikt nie umniejsza jego zasług dla dziennikarstwa sportowego. Był także autorem jednego z najzabawniejszych lapsusów. Lekkoatletka wszech czasów Irena Szewińska zbliżała się do końca kariery. Porzuciła biegi sprinterskie i rywalizację kontynuowała na średnim dystansie. I swego czasu, patrząc na porażkę swojej (także nas wszystkich) idolki, Bohdan Tomaszewski westchnął do mikrofonu: „Pani Irena nie jest już tak świeża w kroku jak dawniej...”.

Kilka razy Złote Pióro otrzymał zapomniany nieco Krzysztof Blauth, który najlepszy swój okres przeżywał w nieistniejącym już kolorowym tygodniku „Sportowiec”. Używając piłkarskiego

języka, strzelił hat tricka, bo trzykrotnie mógł się cieszyć tą nagrodą. Był też autorem kilku książek.

Efekt Blautha

Koledzy, którzy z Blauthem pracowali, zapamiętali go także jako nieposkromionego pożeracza wszystkiego, co postawiono na bankietowych stołach. Dodać trzeba, że

były to złote czasy takich imprez, bo bankiety wyprawiano przy okazji niemal każdych zawodów niezależnie od ich rangi, a gospodarze nie szczędzili wysiłków, aby przedstawiciele mediów nie odeszli od stołu głodni. Wskazane także było, aby nie odchodzili od nich po linii prostej,

dlatego na stołach nie mogło zabraknąć wszelkich napitków.

Pan Krzysztof (chyba jakoś nigdy nie przesłizszy na ty) pił umiarkowanie, ale tego umiarkowania brakowało mu przy jedzeniu. Sam widziałem, jak podczas jakiejś imprezy (dziś powiedzielibyśmy „eventu”) włożył do ust całego wędzonego pstrąga z ośmiu i z kręgosłupem. Wystarczyły dwa, trzy chrupnięcia i już sięgał po następne danie.

Oczywiście musiało się to odbić na jego sylwetce. Krzysztof Blauth nosił przed sobą imponujący brzuszek. Wreszcie postanowił coś z tym zrobić. Zaczął unikać bankietów, a sam przeszedł na jakąś dietę cud. Nie wiem, co to był za wynalazek, ale efekt imponował: stracił chyba kilkadziesiąt kilo. Dziennikarz sekret odchudzania miał zdradzić w swojej kolejnej książce. Za komuny cykl wydawniczy pozycji książkowych trwał jednak miesiącami. Zanim opowieść o tym, jak można się pozbyć kilkudziesięciu zbędnych kilogramów, ukazała się w księgarniach, zadziałał efekt określany przez dietetyków jako jojo, czyli waga delikwenta nie tylko powróciła do dawnego stanu, ale nawet go przewyższyła.

Sprawozdawcy i literaci

W ogóle tygodnik „Sportowiec” przodował w wyścigu o Złote Pióro. Nic dziwnego, żadne inne czasopismo dostępne w kioskach Ruchu nie dawało dziennikarzom sportowym tak dużo miejsca na łamach, w dodatku nie poganiał ich czas, bo nie musieli oddać tekstu w godzinę czy jeszcze szybciej. Dlatego my, pracownicy dzienników, byliśmy przede wszystkim sprawozdawcami, a koledzy ze „Sportowca” mogli dawać upust swoim literackim ambicjom.

Wieloletnim naczelnym tygodnika był Witold Duński, podobnie jak Krzysztof Blauth trzykrotny laureat najwyższej nagrody w naszym zawodzie. Brat Elżbiety Krzesińskiej, złotej medalistki w skoku w dal z Melbourne w 1956 r., najwięcej pisał oczywiście o lekkoatletyce. Miał bardzo wyrazisty styl i stapał po bardzo cienkiej granicy między dobrym dziennikarstwem a grafomanią. Pamiętam, jak w swoim gronie śmialiśmy się, gdy opisując znaną plotkarkę Grażynę Rabsztyn, skupił się na jej biodrach. „I te biodra, te biodra stworzone do rodzenia dzieci” – brzmiał fragment, świadczący niewątpliwie o tym, że granica między dobrym reportażem a grafomanią bywała jednak przekraczana.

Duński, podobnie jak wszystkie wyraziste osobowości, miał oczywiście swoich naśladowców, zwłaszcza wśród adeptów naszego zawodu. Mówiliśmy o nich, że „piszą Duńskim”. Nie znaczy to jednak, że w cieniu naczelnego nie wyrastały inne osobowości. Jedną z nich był Maciej Biega, którego świetnie znałem, bo obaj pisaliśmy o kolarstwie i jeździliśmy na te same imprezy, z Wyścigiem Pokoju na czele. Maciek miał swój styl pisania i sporą wiedzę o kolarstwie. Bardziej niż same wyścigi interesowało go jednak analizowanie osobowości sportowców, ich sposobu myślenia. Lubilem jego teksty, jego samego także.

Łączyło nas zamiłowanie do mocniejszych trunków i papierosów. Maciek tykał też w dużych ilościach proszki od bólu głowy, tzw. tabletki z krzyżkiem, zupełnie jakby to były dropsy. Nic więc dziwnego, że podczas jego pogrzebu któryś z żałobników zauważył, że jeśli Maciej Biega trafi do nieba, to w nim alkohol, papierosy i tabletki z krzyżkiem nie będą szkodzić zdrowiu. Również mam nadzieję, Kolego, że trafieś do takiego nieba, bo w innym czułbyś się nieswojo.

Pogrzeb Maćka zgromadził bardzo wielu ludzi. Był przecież powszechnie znany i powszechnie lubiany nie tylko jako dziennikarz. Jego drugim środowiskiem był brydż sportowy. Grał jako zawodnik w I i II lidze. Zmarł w wieku niespełna 60 lat i to na posterunku. Zawał serca dopadł go na stadionie łódzkiego Widzewa w chwili, gdy przeprowadzał wywiad dla pisma „Mecz”, z którym zaczął współpracować.

Maćka nagrodzono Złotym Piórem w 1974 r., oczywiście nie mam pojęcia, za jaki tekst, bo ja wówczas dopiero stawiałem pierwsze kroki w zawodzie i bardziej myślałem o tym, żeby poskładać poprawne zdania, niż o wyróżnieniach. W 1974 r. pojechałem na mój pierwszy Wyścig Pokoju i z wielkim szacunkiem odnosiłem się do bardzo zasłużonego dziennikarza. Nie wiem, czy on w ogóle wówczas mnie dostrzegł.

Ciekawiej niż w encyklopedii

Później się polubiliśmy. Całe życie koleżanki i koledzy mówili na mnie „Mitel”, innej ksywki niż ta pochodząca od nazwiska się nie dorobiłem. Podczas Wyścigu Pokoju Maciek starał się przeformować moje nowe przezwisko: „Stary Myśliwiec”. Chodziło o to, że podczas czeskosłowackich etapów majowej imprezy kręciłem nosem na podawane tam przez gospodarzy alkohole. Jedyne, co brałem do ust, to wódka Starą Myslivecką z podobną sympatycznego gajowego na etykiecie. Nie przyjęło się i „Mitel” mówi dziś na mnie nawet żona.

A skoro już jesteśmy przy Maćkach, jakże mógłbym nie wspomnieć o innym Maćku, też laureacie Złotego Pióra.

Maciej Petruczenko to instytucja. Jest o cztery lata starszy ode mnie, ale jego aktywność nie maleje, a może nawet wzrasta. Jest najdłużej pracującym dziennikarzem „Przeglądu Sportowego” (niedawno obchodził 50-lecie), właścicielem i redaktorem naczelnym lokalnego piaseczyńskiego tygodnika „Passa” i restauratorem

serwującym włoskie dania w lokalu La Provincia w Zalesiu Górnym. O ile ja poruszam się pomału i o laseczkę, o tyle Maciek wychodzi na kort i gania z rakietą.

Serce waliło mi mocno, gdy po raz pierwszy przekraczałem prógi „Przeglądu Sportowego”, który miał wówczas siedzibę w Warszawie przy ul. Mokotowskiej. Wszystko wydawało mi się ekscytujące, a jednocześnie rozpierała mnie duma. Miałem zostać dziennikarzem, spełniało się moje marzenie towarzyszące mi od lat szkolnych.

Początkowo jedyną osobą, która pomagała mi stawiać pierwsze kroki w zawodzie, był właśnie niewiele starszy ode mnie Maciej Petruczenko, który już od kilku lat pisał o lekkoatletyce. Będę o tym zawsze pamiętał. Dopiero później trafiłem pod opiekę szefa działu reportażu Lecha Cergowskiego, któremu zawdzięczam najwięcej. Nie potrafię sobie przypomnieć, czy „Cergo” dostał kiedyś jakieś pióro w nagrodę od KDS, ale jeśli nie, to wielkie przeoczenie klubu, bo był jednym z najlepszych polskich dziennikarzy w tej branży.

Maciek Petruczenko nauczył mnie tak podstawowej zasady, że nigdy pod żadnym pozorem nie wolno posługiwać się utartymi formułkami, choćby czas wysłania materiału do redakcji gonił, a do głowy nie przychodziło nic oryginalnego.

Już wówczas starszy kolega był niespokojnym duchem. Nie tylko jeździł na zawody, pisał, ale także zorganizował dziennikarską drużynę FC Publikator, która startowała w amatorskiej lidze piłkarskich szóstek, organizowanej przez redakcję nieistniejącego już, a wówczas niezwykle popularnego „Expressu Wieczornego”. Kilka razy wziął mnie do składu, ale szybko pożałował, bo nigdy nie miałem talentu do tej gry – nawet w szkole wybierano mnie niechętnie.

Znany z anteny radiowej inny laureat Złotego Pióra,

Bogdan Tuszyński, w ostatnich latach swojego życia zajął się spisywaniem historii polskiego dziennikarstwa sportowego. Nasz zawód wiele mu zawdzięcza, ale ja zawsze odczuwałem pewien niedosyt. Ten świątek był znacznie ciekawszy i zabawniejszy niż encyklopedyczne notki.

To se nevrátí – mógłbym westchnąć, popijając kieliszek Starej Mysliveckiej.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



ILUSTR. PAVEŁ FERENC



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,

Andrzej Rozenek – zastępca redaktora naczelnego,

Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka,

Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński,

Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz,

Agnieszka Wolk-Laniewska, Marek Sanowski.

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,

tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;

tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:

NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć,

dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy

sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz

listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych

tekstów pochodzą od redakcji.

Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja

nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,

e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,

www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 7.02.2024 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Fragmenty rozmowy podsłuchanej przez Centralne Biuro Antykorupcyjne przy użyciu systemu Centaurus, który jest następcą niesławnego Pegasus. Figurant Kaczyński rozmawia z figurantem Bieleńskim:

– Co to jest?
– Pasporty.

– Dziwne jakieś... Bez orla.

– Bo niepolskie. Ten jest z Belize, ten z Ekwadoru, a ten z Wysp Świętego Tomasza i Książęcej. Zobacz, tu jest napisane: „Passaporto diplomático”, a tu: „República Democrática de São Tomé e Príncipe”.

– (nieczytelne) ...zamierzasz?

– Zamierzam, nie zamierzam... Ubezpieczam się.

– (nieczytelne) ...cię ułaskawi.

– Dziś ułaskawi, jutro nie ułaskawi. Jakbyś go nie znał.

– Ja właśnie w tej sprawie. Czy z Tomaszem Bocheńskim uda się tak jak z nim? Wtedy miałeś nosa.

– Z Tobiaszem, on ma na imię Tobiasz... Cholera wie. Z Dudą to był taki fart, że... Nic dwa razy się nie zdarza. Nie zdarza się, żeby nikt został prezydentem. Jedno jest pewne: z Trzaskowskim w Warszawie nie ma szans. Jak dostanie dziesięć procent, to będzie dobrze.

– Mówią, że faszysta...

– E tam, od razu faszysta. Możemy przyznać, że w niektórych sprawach ma wyraziste poglądy.

– I kibol...

– Co z tego, że kibol? Pamiętasz? „Donald, matole, twój rząd obalą kibole!”

– A ręce ma czyste? W sensie łapówek czy coś...

– Wiesz, kto ma czyste ręce? Pawełek, który jutro przyjdzie na świat w Szpitalu Świętej Zofii.

– Jaki Pawełek?

– To była przenośnia. Metafora, parabola, hiperbola, obrazowa analogia.

– Nie rozumiem. Są dowody na to, że brał w łapę, czy nie ma?

– Każdy ma swoje dwie wieże... (śmiech) Żartowałem... Odpowiem prosto z mostu: bierz Tobiasza, bo nikogo lepszego nie wytrąsiesz. Grochu nie wymyśli, ale wstydu nie przyniesie.

– Jakiego grochu?

Z nagrania cyfrowego spisał
PRZEMYSŁAW CÍWKLIŃSKI

Dialogi dam,

z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA upiekła na tłusty czwartek jagnięcinę, **JOANNA SENYSZYN** przyniosła czerwone wino i wspomina swoje kulinarne wyczyny sprzed 40 lat.

Wołk-Łaniewska: – Zawsze mówisz, że szkoły i gotowania nie znosiłaś. Co cię tak wzięło na kulinarne wspomnienia?

Senyszyn: – Może to starość...

– Nie przesadzaj.

– No dobra, to duma, że tak sprytnie rozwiązałam problem obiadowy dla czteroosobowej rodziny z dwoma psami, które zdecydowanie wołały ludzkie jedzenie od psiego.

– Pierwsze słyszę, że tak ci się rodzina rozmnożyła...

– Nie rozmnożyła, zawsze była trzypokoleniowa: moja mama, nasza odwieczna gospośka Fela, ja i psy.

– To chyba dwupokoleniowa...

– No jak to? A psy?

– Mówiłaś do nich: „Chodź do mamusi”?

– Nie, bo nigdy nie miałam matczynych instynktów. Ale były najmłodsze. A apetyt miały wilczy. Pożerały całe kartkowe masło, wiośną uwielbiały chrupać młode marchewki i poznawały, które są z ekologicznej uprawy, a które sztucznie pędzone. Jak doszedł mój mąż, rodzina zrobiła się jeszcze większa.

– Karty Dużej Rodziny byście i tak nie dostali.

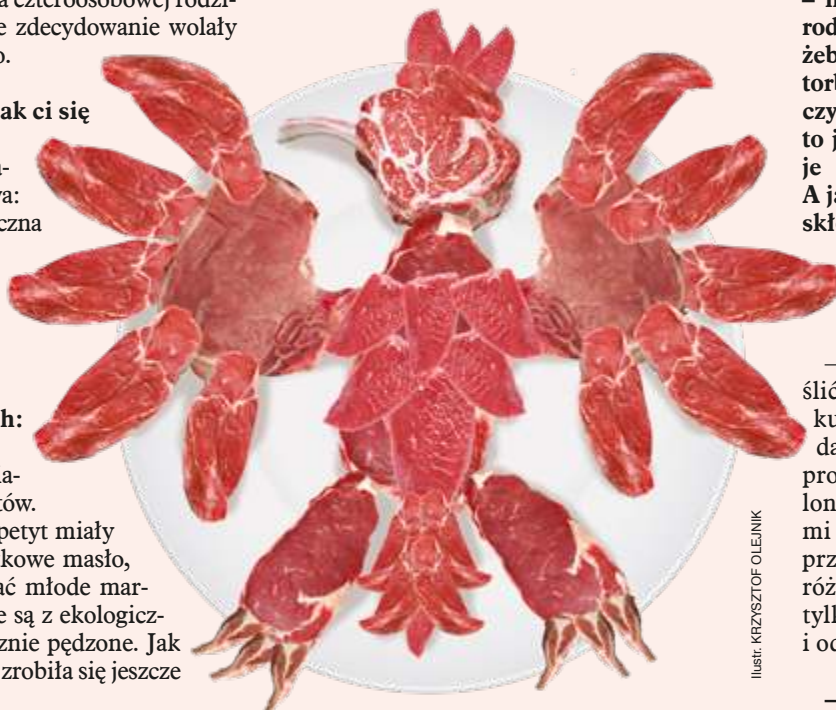
– Wprawdzie PRL też promował model 2+3, ale zamiast karty dawał kartki. Dziś nikt nie pamięta, że kartki na mięso to była realizacja trzynastego ze słynnych 21 postulatów z Sierpnia '80. Potem dołożyli reglamentację i innych artykułów...

– I z tych kartek tak gotowałaś?

– Jak najbardziej! Zaczęłam od gotowania na trzy dni. Potem kupiłam – czy raczej załatwiłam, bo wtedy wszystko się załatwiała – dwie wielkie zamrażarki, elektryczną maszynkę do mielenia mięsa, chyba 30-litrowy gar na rosół z 10 kurczaków i kilkanaście mniejszych garnków do mrożenia gotowych zup. I mogłam gotować na 40 dni. Jednego dnia robiłam zakupy jak dla pułku wojska, a następnego od rana do nocy przerabiałam je na obiadowe pyszności. Potrafiłam za jednym zamachem zrobić 180 mielonych i smażyć je równocześnie na czterech patelniach.

– Zaraz, zaraz, policzmy: na kartce na mięso były 3 kg plus jeden woł/cielu z kością na rosół. Jak was były cztery ryje kartkowe, to należało wam się 12 kilo mięsa na mielone na miesiąc. Z kilograma wychodzi 16 kotletów mielonych...

– Skąd to wiesz?



Ilustracja: KRZYSZTOF OLEJNIK

– Sprawdziłam w necie. Jak żyję, nie robiłam mielonego, nie znoszę... 12 razy 16 równa się 192. No dobra, mogłaś zrobić te 180 kotletów, nie naruszając zasad gospodarki socjalistycznej.

– Trudno: przyznam się. Nie ograniczałam się do kartkowego mięsa... Czasem na halę pojechałam, czasem na wieś...

– Kupowałaś mięso z nielegalnego uboju?

– Jakiego nielegalnego? Na własne potrzeby rolnicy zawsze mogli.

– Ale na handel nie mogli.

– Mogli się dzielić z rodziną, a wszyscy Polacy to jedna rodzina. Ale jeśli uważasz, że naruszałam socjalistyczną moralność, możesz mnie potępić.

– Nie za bardzo, bo też niestety mam na sumieniu udział w takim czynie. W stanie wojennym – miałam wtedy dziewięć lat – rodzice

kupili jakiś kawałek świniaka na wsi, gdzie mieli działkę, i uznali, że znakomitym pomysłem jest przerobienie go na wędliny w Białymstoku. Tatuś załatwił przepustkę na pociąg i zabrał mnie w charakterze zasłony dymnej – niby to z dzieckiem jedzie na uroczystość rodzinną. Idziemy przed świtem na tramwaj, żeby dojechać na dworzec, ojciec niesie całą torbę tej nielegalnej chabaniny i mi tłumaczy: „Pamiętaj, jakby nas milicja zatrzymała, to jedziemy na chrzciny”. A ja bystrze: „Czyje chrzciny? Dziewczynka czy chłopczyk? A jak będzie miało na imię?”. Zawsze miałam skłonność do poważnej konspiracji...

– I co?

– Nikt nas nie zatrzymał, cała konspira na nic. Wracając do twoich kotletów...

– Były pyszne. I z mięsa. To warto podkreślić, bo w tamtym czasie pewna kierowniczką kuchni w stołówce zakładowej, oskarżona, że daje do mielonych nieświeże mięso, wygrała proces, udowadniając przed sądem, że do mielonych mięsa w ogóle nie daje. Poza mielonymi były kurczaki, karkówka, 30 litrów rosółu przerabianego zaraz po ugotowaniu na kilka różnych zup i mrożonego w garnkach... Potem tylko pytałam: „Co chcecie jutro na obiad?” – i odmrażałam wedle życzenia.

– Przypomina mi się opowieść Magdy Umer, jak kiedyś podsłuchiwała dialog w tramwaju. Dwie kobitki gadały i jedna bardzo zmęczonym tonem mówi: „Najgorsze jest to myślenie. Ja tak codziennie myślę i myślę. To takie wyczerpujące”. A druga jej na to: „Bo ty sobie, kochana, niepotrzebnie życie komplikujesz. Ja im mielone na trzy dni robię, a potem to już sobie sami odgrzewają”. Więc w pomysłach nie była oryginalna...

– ...za to w skali!

– Zmieniając temat: widziałam cię w Telewizji Republika.

– Ma ponoć coraz większą oglądalność, bo przejęła część widzów publicznej publicystyki.

– Faktycznie jest na drugim miejscu, przed Polsat News. Na pierwszym ciągle TVN24 – według informacji „Pressu”.

– W każdym razie ma oglądalność. A ja uważam, że żadnych mediów nie można opuścić klerowi czy skrajnej prawicy. Widzowie mają nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek usłyszeć także głos rozsądku. Żałuję, że mnie Rydyk nie zaprasza, bo również w tym środowisku są ludzie, którym trzeba otwierać oczy na prawdę, żeby ich wyzwoliła.

– To niewątpliwie byłoby interesujące widowisko... Ale mówiąc serio: mam ponure przekonanie, że nikt nikogo do niczego nie przekonuje w polskiej debacie publicznej. Wszyscy tkwią w własnych Okopach Świętej Trójcy i są tam wygodnie umoszczeni.

– Trochę racji możesz mieć. Pamiętam, jak w 2009 r. w Wadowicach prowadziłam kampanię do europarlamentu. Stoję na chodniku, rozdaję ulotki, a naprzeciwko idzie góralka w stroju prawie ludowym. Poznała mnie i z uśmiechem rzuciła mi się na szyję, wykrzykując: „Pani Senyszyn kochana, ja mam dokładne takie poglądy jak pani, pani tak broni kobiet!”. Więc mówię jej zadowolona: „Proszę na mnie głosować”. A ona na to: „Nie mogę, jestem zatwardziała pisówka”.

– Zatwardziałych pisowców nie sieją...

– Ale będzie ich ubywało, bo cenią mocnych i sprawczych polityków, a partia Kaczyńskiego...

– ...daje dupy, aż miło popatrzeć.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 285



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI